

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

PRENUMERATA:

Z przesyłką poczt. lub dostarcz. do domu
 Rocznie 8.—
 Półrocznie 4.00
 Kwartalnie 2.00

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26
 Otwarte codziennie prócz świąt od
 11 godziny do 4 pp.
 Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu 50 k.
 W tekście (nadesłane) 1 rb.
 Po tekście 20 k.

„Steputaty“.

W czasie gdy hakata coraz nowe święci tryumfy; gdy, stojąc ponad rządem pruskim, dławi polaków „prawami“, urągającemi wszelkiemu o prawie pojęciu; gdy z właściwą nikczemnikowi zawziętością pastwi się nad spętany przeciwnikiem—biegnie jej na pomoc reprezentant sejmowy litwinów pruskich.

Głos pos. Steputata zdumienie wywołał. Więcej, powiem. Z niektórych artykułów prasy niemieckiej wnosić można, że nawet wśród hakatystów niesmak pewien zbudził. Znikczemniały parobek, spieszący z drągiem, by pomagać panu, bić powalonego, dał „rycerzowi“ moment wstrętu do samego siebie. Chwila ta, oczywiście, prędko minęła. „Rycerz“ otworzył ramiona i Steputata przycisnął do serca, uznając w nim godnego ucznia szkoły, stawiającej siłę przed prawem.

A ów Steputat—pamiętajmy—to litwinu nie tylko z nazwiska, nie tylko z pochodzenia i nie tylko dlatego, że posłuje z litewskiego obwodu: pruska ordynacja wyborcza z fałszowania rzeczywistości słynie. Pos. Steputat posiada legitymację bez porównania cenniejszą—jest prezesem towarzystwa litewskiego w Głębiniu. Osobistość to więc, ciesząca się popularnością wśród swoich. Stąd wnosić można, że gdy pos. Steputat zgłasza akces „jaknajwiększej liczby“ rodaków swych do Ostmarkenvereinu; gdy zapewnia, że „pruscy litwini nawskroś wiernymi są królowi i zawsze takimi pozostaną“; gdy przyrzeka, iż „w walce z polakami wytrwale stać będą po stronie rządu pruskiego“—deklaracji tych uważać nie można za wylew uczuć osobistych. Nie! Tak musi niewątpliwie czuć tłum, za onym posłem stojący.

Można być tego równie pewnym, jak i tego, że gdyby elektor brandeburski nie był zrobił nagle świetnej kariery; gdyby go była zdeptała w swoim czasie stopa Rzeczypospolitej i gdyby dziś nie hakatyci dyktowali prawa antypolskie, lecz endecki—prawa antygermańskie: ten sam Steputat z całą swą kompanją spieszyłby... bić Niemców.

Ale stało się inaczej; zatem przedstawiciel ginącego w Prusach narodu najgorszych wrogów swoich widzi w księżach i obywatelach polskich po drugiej stronie kordonu. Zamyka on oczy na fakt, że ten sam pangiermanizm, co smaga polskość biczem hakaty, własne jego plemię skazuje na los azteków meksykańskich. O tem zgoła nie chce myśleć, choć—jak słyhać—sam już po litewsku mówić nie umie. Walka z niebezpieczeństwem rzeczywistym, walka, wymagająca ofiarnego bohaterstwa, — nie dla tchórzów z rabskimi duszami. Wolą oni wojować tam, gdzie pomoc ich jest całkiem zbędna, gdzie — jak w danym wypadku — zdobycze są łatwe i ryzyka nie wymagają. Pos. Steputat nie może chyba nie wiedzieć, że w Suwalszczyźnie, Kowieńszczyźnie Litwa coraz wyżej podnosi głowę; że buduje tu przyszłość swoistą, narodową — że rośnie, podczas gdy pod rządem pruskim tonie. I wie niewątpliwie pos. Steputat, iż ogół polski odrodzenie Litwy traktuje życzliwie; że jeśli owo odrodzenie spotyka przeszkody, to główne z nich nie są bynajmniej stawiane przez Polaków, którzy w kraju tym żadnych praw szczególnych nie mają. To też pos. Steputat owych głównych przeszkód też nie tyka. Jego ferwor bojowy zwraca się wyłącznie przeciw straszemu uciskowi, który widzi w dziecinnych sporach o pieśni kościelne na pograniczu etnograficznym.

Rycerz!

Dziś roi się od takich rycerzy. Steputatów nie tylko pruska Litwa rodzi.

Steputat — to znamię czasu. Ze wszech stron wyziera jego spodłone oblicze, przyjaźnie zawsze uśmiechnięte do zwisającego nad głową harapa, a groźne i butne wobec słabszych, faktycznie lub przypuszczalnie, towarzyszków doli.

Czyż nie „steputatyzmowi“ przypisać należy w dużej mierze czupurność Ukraińców lwowskich wobec pokory kijowskich?

Czyż nie „steputatyzm“ każe niektórym działaczom białoruskim gorliwie zabiegać, by przekonać, kogo należy, że są wrogami Polaków?

Czy tylko Steputat pruski umizga się do hakaty? A czyż „hakata“ jedynie w Prusiech istnieje? Posłuchajmy rejwachu Żabotnickich, co kopa-

nym przez nacjonalizm rosyjski żydom radzą za-
skarbiać łaski władz rusyfikowaniem Warszawy.

A endecja polska! Tropiciele „obcoplemień-
ców“; dziarscy rusinów i żydów pogromcy; twórcy
nowych, *cenzuralnych* orjentacji... Albo ci redakto-
rowie warszawcy, lejący łzy nad świeżo usypaną
mogilą... A to stado „urodzonych przywódców“,
gotowe zawsze bić pokłony choćby... Wilhelmowi.

Mrowie Steputatów mnoży się, jak robactwo.

Zaraza „steputatyzmu“ rozszerza się coraz
dalej i dalej, a objawy jej dostrzegamy tam nawet,
gdzie, zdawałoby się, gruntu podatnego wcale dla
siebie nie ma.

Oto taki dr. Kramarz! Wódz młodocze-
chów, kruszący kopje w obronie płatnych pachol-
ków grafa Bobrinskiego...

Gdzieżes zawędrował, duchu Steputata?

A wreszcie sam ów graf Bobrinskij, co z taką
pajacowską brawurą walił do Marmarösz-Sziget
poto, by na widok żandarma węgierskiego stulić
uszy i zapewniać, że myślał tylko o walce z... po-
lonizacją rusinów. W skórze „małorosa“ takim to
zuchem być mu wypadło.

I nic dziwnego. Umieć z godnością, dumą,
powagą dźwigać brzemie, jakie zwała na barki
przynależność do ujarzmionego narodu — to nie
dla takich figurek zadanie. Nawet z poza tarczy,
hrabiowską ozdobioną koroną, łącznie wyrzy w tem
położeniu chamstwo Steputata.

Ono dziś rzeczywiście do głosu przychodzi.
Zdobywa wpływy, znaczenie. W zbroję Don Kicho-
ta stroi swe tchórzostwo i głosi wojnę krzyżową,
co się tumultem żakowskim na pierwszym przed-
mieściu ma skończyć.

Czerń idzie!

Choć na jej czele widzimy tu i owdzie zwy-
rodniałych Petronjuszów, nie zdołają oni żadnymi
sofizmatami osłonić faktu, że ulegli światopoglą-
dowi parobka, dla którego „siła przed prawem“ —
to już nie stwierdzenie podłej rzeczywistości ale—
ideał.

„Siła przed prawem“ staje się jawnie wyzna-
waną zasadą mas, wyrosłych w warunkach, urą-

gających wszelkiemu poczuciu sprawiedliwości.
A w warunkach tych przecież żyją, wychowują się,
kształtują ludy, zamieszkujące sam centr Europy,
sam centr cywilizowanego świata...

Kto wie, czy ta Europa, czy ta cywilizacja nie
odpokutuje wkrótce już tolerowania zbrodni, co
pozwoliły w sercu jej założyć Steputatów hodowlę.

H. R. C.

My, a „oni“.

Z powodu wzmianki: „Białorusini w Mińsku“ w № 19
„Kurjera Litewskiego“.

W „Pamiętniku uroczystości polskich w Wa-
szyngtonie 1910 r. uderza nas jeden przykry dyso-
nans. Znajdujemy tu, między innymi, takie oświad-
czenie: „Chociaż w Waszem łaskawem zaproszeniu
nie pominięto i tej litewskiej organizacji, jako i tych
wybitniejszych litewskich działaczy, którzy stoją na
gruncie łączenia się Litwy z Polską na podstawach
Unji Lubelskiej, jednakże naszej redakcji przedstawi-
ciele na Kongresie udziału brać nie mogą, gdyż nie
należą do takich organizacji, które stoją na gruncie
Unji Lubelskiej. („Lieutuvas Ziniu“ i „Lieutuvo Uki-
ninko“).

Dysonansem podobnym był też głos p. Wereszczaki
w „Naszej Niwie“ z powodu niedawnej rocz-
nicy Unji Horodelskiej.

Nie ja jeden chyba uczulem głęboką wdzięcz-
ność dla „Kur. Lit.“ za komentarz, jakim ten głos
opatrzył. Zarzucił on p. Wereszczace to tylko, że
czerpie swą wiedzę historyczną z tak płytkiego źró-
dełka, jak „Historja Bielaj Rusi“ Własta, i wyraził na-
dzieję, iż wspomniane poglądy „N. Niwy“ nie zado-
wolą już prawdopodobnie syna p. Wereszczaki. Jest
w tem wszystko, co być powinno: wiara w moc do-
brej sprawy, w to, że światłość i w ciemnościach za-
świeci.

WACŁAW MAKOWSKI.

Marzenie i czyn.

Pośród całego szeregu rozmaitych mniej lub
więcej zasadniczych antytez, których pełne jest ży-
cie i człowiek, — jedno z miejsc doniosłych zaj-
mie zapewne przeciwstawienie władz duszy lu-
dzkiej.

Utarty, jakkolwiek z rozmaitych stron kwe-
stjonowany, przyjęty jednak za punkt wyjścia za-
równo dla dociekań i doświadczeń, jak i dla me-
todycznych sporów, jest dziś podział władz psychi-
cznych człowieka na rozum, uczucie i wolę. Nie
poruszając słuszności tego podziału, chcę go po-
zostawić na uboczu i zatrzymać się na innym po-
dziale, bardziej doświadczalnie poznanym.

Podział ten polega na wyraźnym rozróżnieniu
pierwiastków poznawczych i ruchowych, rozróżnie-
niu, które możemy obserwować zarówno dobrze
drogą introspekcji, przyglądania się życiu ludzi
wogóle, jak i w wielkich plamach obrazu historii.

Do kategorii poznawczych należeć będzie
w pierwszym rzędzie rozum, intelekt; może obok
niego, o ile się zgodzimy na jej uznanie, „intuicja“,
tak, jak ją rozumieli romantycy (Anschauung), albo
dzisiaj Bergson. Do ruchowych — obok woli uczu-
cie, które we wszelkich swoich objawach łączy się
zawsze, w sposób do dna jeszcze nie zbadany, ale
stanowiący oddawna przedmiot usilnych dociekań,
z rozmaitemi objawami ruchowymi. Dość wspom-
nieć spostrzeżenia, poczynione przez Darwina, de-
baty nad tem, co jest pierwsze w stanie uczucio-
wym: wewnętrzne tego stanu odczucie, czy też
objawy ruchowe, które mu towarzyszą i t. d.

Zatem z gruba podział taki możemy przyjąć.

Czy antyteza jest zupełna? Czy są procesy
poznawcze czyste, pozbawione zupełnie pierwiast-
ków emocjonalnych, i odwrotnie: czy procesy ru-
chowe bywają całkowicie niezależnione od pozna-
nia i od świadomości?

Odpowiedź będzie trudna i względna, a to
z tego powodu, że na drodze do zbadania takiego
spółistnienia procesów psychicznych obydwóch
rodzajów stoi w szeregu wypadków przeszkoda
w postaci „progu świadomości“. Że znów inne

Pozostaje atoli fakt, że „oni“ tymczasem nie chcą Unji na podstawie aktu Lubelskiego, ani Horodelskiego. Nigdy z Unją tą gładko nie szło. Trzeba ją było nieraz odnawiać łątać, dopasowywać. A jednak pewne na razie zresztą bardzo drobne fakty przemawiają za tem, że się ona organicznie odradzać zaczyna na gruncie rozproszonych w czasie i przestrzeni wysepek dobrowolnego kulturalnego współpracownictwa.

Jedną z nich była wystawa drobnego przemysłu w Wilnie, która dała bardzo krzepiące i czyste wrażenie ogólne: byli tu wszyscy, którzy z tej ziemi wyrosli i na niej pracują z pamięcią o przeszłości, z myślą o przyszłości; obok różnic narodowościowo-wdzielnicowych widzieliśmy też takie pokrewieństwa, takie nieznaczne przejścia, że często trudno było znaleźć granicę, gdzie się jedna grupa kończy, a druga zaczyna. Nieobecność krzykliwych, kłócących się barw stanowiła cechę ogólną.

Teatr montwiłowski w Poniewieżu do użytku wszystkich narodowości, z wyjątkiem tej, która zwadę zaczyna—to objaw pokrewny.

Prostą wzmiankę o tem, że się w Mińsku zawiązuje stowarzyszenie muzyczno-literackie „Łuczynka“, do którego, prócz białorusinów, zapisują się i polacy, należałoby zaliczyć do objawów dodatnich tejże kategorii, a przynajmniej zaczekać z oceną do czasu, kiedy żyć zacznie.

Ale dodane do owej wzmianki zawiłe komentarze, mające jakoby zapobiedz „jeszcze większemu zamieszaniu, tworzeniu jeszcze większej przepaści pomiędzy obywatelstwem, a ludem“, są, mojem zdaniem, zbyt technicznym tylko przyczynkiem do tego, z czem walczą.

Autora przedewszystkiem oburza udział w kółku polaków. Usiłuje dowieść że nie ma on racji bytu ani ze względów utylitarnych, ani idejowych.

Czy słuszne jest to stanowisko?
Udział w kółku białoruskiem nte ułatwi nikomu ani kupna ziemi, ani zdobycia posady, ani wogóle nie da żadnej materialnej korzyści.

Stosuje się to, oczywiście, do każdego kółka mu-

zyczno-literackiego, czy będzie ono białoruskie, czy polskie.

Białorusinów, którzy, jak umieją, dbają o takie nieopłacające się sprawy, należy traktować prosto i przyjaźnie. Wszelka względem nich złośliwość, j. np. branie nazwy „białorusini“ w cudzysłów, wprowadza niepotrzebny zamęt. Cudzysłów należy się słusznie działaczom typu p. Soloniewicza.

Kto jest białorusinem, a kto polakiem, o tem za dzieci powinni decydować rodzice; z dorosłych każdy może decydować tylko sam za siebie. Robiąc tu rewizję na własną rękę, na podstawie brzmienia nazwisk i innych danych, autor niepotrzebnie wkracza w granice nieuznanego jeszcze przez nas przywileju mińskich władz szkolnych, na który jednocześnie słusznie się oburza.

O ile rzeczywiście bywają wśród nas wypadki jawnego zapierania się własnej narodowości na korzyść białoruskiej lub innej, to nie należy tego brać zbyt tragicznie. Pewien kapłan, gdy mu pod presją nagle zmienionych warunków zewnętrznych ubywały owieczki na korzyść uprzywilejowanego rywala, a ten się z tego przed nim chełpił, odpowiedział z zupełnym spokojem:

„Chwała Bogu—oczyszcza się owczarnia“.

Białorusini bez cudzysłowu są, jak to sam autor uznaje, nie więcej od nas uprzywilejowani. Przejście do ich obozu jest to przejście na chleb literacki bodaj jeszcze chudszy od naszego i hańbiących cech sprzedawczykowstwa nie nosi. Mamy podobno rodziny, w których każdy z 3 rodzonych braci do innej narodowości należy. Nie uważam tego za zjawisko normalne. Sądzę jednak, że należy w tem raczej widzieć rodzaj specjalizacji oświatowo-kulturalnej, niż coś gorszego.

Jeżelibyśmy mieli przed sobą dwie wrogie armje w szyku bojowym, to zgodziłbym się z autorem, że nie wolno byłoby przebiegać z jednych szeregów do drugich bez szwanku na honorze.

Ale tak źle jeszcze nie jest. W danym wypadku chodziło tylko o udział w białoruskiem kółku muzyczno-literackiem. Ani w podaniu do władz, ani, jak sądzę, przy zapisywaniu się na członka od nikogo

podniety natury emocjonalnej rozbijają się na „próg uczucia“.

Po za progiem świadomości odbywają się rzeczy niesłychanie ciekawe i doniosłe, posiadające olbrzymi wpływ na kształtowanie się i przebieg procesów świadomości; zbadać je możemy jednak względnie jasno dopiero wówczas, kiedy tak albo inaczej, w formie często może najmniej oczekiwanej, ten próg przekroczyć.

I tam, gdzie chodzi o świadomość, zagadnienie jest stosunkowo łatwe: odpowiadamy, że cały szereg ruchów, czynności, spełnianych podczas snu, hypnozy, stanów somnambulicznych i t. p. szereg odruchów automatycznych nie mają wcale równoważnika w świadomości, lub mają tylko poza jej progiem, w podświadomości i zaledwie przy współdziałaniu obcej pomocy próg ten przekroczyć by mogły, *) a te mogą nas na razie nie obchodzić.

Trudniej nieco jest tam, gdzie stawiamy sobie pytanie o istnieniu czystych stanów poznawczych

*) Tu możemy snuć daleko idące fantazje i dociekania „metapsychiczne“, czy inne.

bez jakiegokolwiek zabarwienia emocjonalnego. Można byłoby mówić tu o matematyce, o spekulacjach metafizycznych czystych, ale czy i w nich nie tkwi najmniejsze chociażby ziarno emocji, czy najbardziej nawet „bezinteresowna“ ciekawość nie jest procesem emocjonalnym—dodanym do najbardziej oderwanych rozmyślań?

Zapewne tak.

Ale nie chodzi mi w tej chwili o odnalezienie procesów bezwzględnie czystych w tem czy innym znaczeniu; chodzi mi o skonstatowanie tego, co zdaje się potwierdza całe życie psychiczne, że procesy te są odmiennego porządku, i że w złożonym procesie psychicznym mogą się zawierać w rozmaitych ustosunkowaniach.

Jeżeli nawet nie mogą być nigdy osobno, to stosunek ich do siebie w każdym poszczególnym wypadku nie jest stosunkiem stałym, a jest wypadkową czynników rozmaitych, w nich i poza niemi leżących.

Jakaż jest tedy rola i znaczenie każdego z tych elementów w złożonym procesie? Co każdy z nich wnosi do wspólnego dorobku i jak go zabarwia? A razem, jaki jest ich wzajemny stosunek, skąd

nie wymaga się żadnych deklaracji co do wyrzekania się jednej narodowości, a zapisywania się do innej.

Można należeć nieraz do dwu, trzech i więcej kółek muzyczno-literackich: do „Ogniska“, „Sokoła“, „Łuczynki“, jeżeli komu starczy na to czasu i ochoty.

Propagowanie bojkotu „Łuczynki“ przez polaków stanów: właśnie, jeżeli nie „tworzenie“, to „pogłębianie“ przepaści pomiędzy obywatelstwem a ludem, przed czem autor niby przestrzega.

Inicjatorami odrodzenia literatury białoruskiej byli, jak wiemy: Wincenty Dunin — Marcinkiewicz, Franciszek Bohuszewicz, Jan Niesluchowski. Nie możemy egzaminować nieboszczyków, za kogo się oni bardziej uważali: za polaków, czy za białorusinów. Jedno wiemy napewno: że nie przepaść tworzyli, ale most. — Gdyby Mickiewicz był takim dystylowanym polakiem, jakimi autor chce nas zrobić; gdyby tak, jak on, gardził białoruszczyzną, to nie mielibyśmy całego szeregu arcydzieł, a przedewszystkiem „Dziadów“. Mickiewicz nie byłby Mickiewiczem.

Most, o którym mowa, zaczęto w ciągu kilku lat ostatnich rozbierać po obu stronach z gorliwością, godną lepszej sprawy. Przyczynia się do tego głównie krótkowzroczna, utylitarzna publicystyka.

Nie opłaci się analizować, kto „zaczął“, a kto „oddał“. Podejrzliwości, zachłanności, najdzikszych pretensji po tamtej stronie nie brak. Wogóle mam wrażenie, że w ostatnich czasach literatura białoruska rozwija się o wiele pomyślniej ilościowo, niż jakościowo. Garstka literatów, z małemi wyjątkami, tworzy tam coraz bardziej towarzystwo wzajemnej adoracji: względem swoich wymagania maleją, względem nas rosną. Prawdziwi ideowcy białoruscy muszą zrozumieć, że dalej w tym kierunku iść nie wolno. Wielki czas na rzetelną krytykę, która od zacierzawionych publicystów musi apelować do ogółu czytelników, a więc występować w przystępnej dla nich białoruskiej szacie. Literackie kółko białoruskie z udziałem polaków, nie udających białorusów, ale znających ich język, niewielką literaturę i lud nie gorzej od nich samych, byłoby dla takiej krytyki terenem najodpowiedniejszym. Przy wierze w słuszność własnej spr-

wy i rzetelnej pracy, mimo zachwaszczenia gruntu, nadzieje na przyszły plon można mieć nienajgorsze.

Prawdziwych białorusów cechuje mniejsza, niż u innych narodów, zapalność, a większa tolerancja, normalne poczucie sprawiedliwości i wdzięczności za rzeczywistą sąsiedzką pomoc. Nie jest to zresztą dla nas jedyna racja wstępowania do kółek tego rodzaju.

Typ szlachcica, pokutującego przed ludem za grzechy przodków, już się przeżył. Przeżyły się u nas napaści na szlachtę, jak i sama szlachta, jako kasta. Ale nie przeżyło się ani u nas, ani na szerokim świecie to, co jest antytezą szlachecko-rycerskich ideałów, t. j. chamstwo. Przeciwnie, pleni się ono bujniej, niż kiedykolwiek.

Tylko wyjątkowo szczęśliwym społeczeństwom udało się wyrosnąć z pod tłoczącej przewagi zarówno szlacheckiego jak i chamstwa. Skargi na to rozlegają się z najrozmaitszych stron. Pisarz rosyjski, Mereżkowski, napisał całą książkę pod tytułem — Cham idzie — („Griaduszczyj cham“), którą oparł na stosunkach północno-amerykańskich. I miał rację, chociaż nie trzeba było koniecznie aż tak daleko chodzić po dowody. Wszelkie postaci tego zjawiska mógł on wraz z nami obserwować znacznie bliżej. Ponieważ lud białoruski, jak i polski, rośnie między warunkami krajowemi i amerykańskimi (wobec stałej emigracji zarobkowej), więc otrzymuje podwójną dawkę tej trucizny. Jej działaniem wytłomaczyć da się, jak sadzę, najgorsze zbrodnie społecznej publicystyki białoruskiej i nie tylko białoruskiej. P. Grabiec, apologeta najbujniejszego ruchu odrodzeniowego wśród ludu polskiego (jakim jest tak zwane „zaraniarstwo“), odnajdując w niem ze smutkiem, obok cech dodatnich, objawy „duszy pańszczyźnianej“, ma zapewne to samo na myśli.

Inni słusznie zwracają uwagę, że ów zarazek szerzy się nie tylko w warstwach najbardziej dziedzicznie obciążonych: że z łatwością udziela się on wszystkim innym stanom naszego społeczeństwa. Jaskrawym tego przykładem były niedawne owacje magnaterji poznańskiej dla Wilhelma. Nie brak wreszcie przykładów jeszcze bliższych i to rozmaitej miary. Jednym z najpilniejszych zadań kulturalnych

doszły one do tego, ażeby się połączyć, czy są sobie współczesne, czy też którykolwiek z nich starszy jest, poprzedza drugi na drodze swojego powstania?

Rola ich działania określa się dość łatwo: jeden myśli, a drugi wykonywa; co znaczą te określenia, zobaczymy niżej.

Stosunek zaś starszeństwa będzie zapewne ten, że pierworództwo należy silnemu Ezawowi, ale je często oddaje za miskę soczewicy w ręce słabszego, a chytrzejszego Jakóba.

Zapewne jeszcze wówczas, kiedy świadomość i cały aparat poznawczy myślowy, stanowiący w znacznym stopniu przywilej człowieka, nie istniał, albo istniał w poczwarcie, w „podświadomości“, — już wówczas, może odmienne od naszych odbywały się jednak w psychice organizmów niższych procesy psychiczno-ruchowe. Wszakże już odruchy automatyczne, nieświadome, świadczą jednak o istnieniu jakichś podniet i wywołanej przez nie reakcji w ośrodkach nerwowych t. j. w tych ośrodkach, które z biegiem czasu staną się domostwem życia psychicznego.

Pierwszą i główną podnietą odruchu, — a po-

tem już nieco—woli, ten ruch kierującej, był brak, przykrość czy ból, wogóle niezróżniczkowane uczucie ujemne wywołane przez odczucie braku. I pierwszy ruch wyłaniający się z odruchu, był tak samo prosty, tak samo zmierzający prostolinijnie w kierunku uniknięcia zła, lub zaspokojenia wywołanej przez brak potrzeby.

Potrzeba samozachowania, czy to w postaci zdobycia pożywienia, czy unikania niebezpieczeństwa i zachowania gatunku — wywoływała pierwsze odruchy a potem ruchy, kierowane przez wolę.

I dopiero coraz bardziej skomplikowane wymagania walki o byt zapewniały zwycięstwo tym osobnikom, które potrafiły zręczniejszo wykonać i lepiej zastosować swój ruch—odruch. Pierwszy mieszkaniec ziemi, owad, czy jakiś jego krewniak, znał tylko ruchy proste *ku* i *od*; ale kiedy zaczął w tych prostych drogach natrafiać na przeszkody, musiał wyszukiwać dróg okólnych; najpierw natrafiał na nie wypadkowo, potem zaczął wyszukiwać świadomie. Najpierw chciał, potem zdobywał, a już dopiero później znacznie wiedział, jak ma zdobywać to, czego chce.

Ale to jeszcze nie była ta wiedza ludzka, ta

jest bezstronne badanie tego zjawiska na własnym gruncie i walka z niem we wszystkich językach krajowych, nie wyłączając białoruskiego. Myślący i czujący chłop białoruski zaduch chamstwa też odczuwać zaczyna i tęsknić do tego, coby się mogło w życiu codziennem skutecznie tej klęsce przeciwstawić. Na słabe i w wysokim stopniu zarażone już chorobą dziennikarstwo białoruskie, takie, jakie jest dziś, nie wiele liczyć możemy. Musimy sobie i jemu w zwalczaniu chamstwa i innych plag naszego marnego żywota dopomódz. Odwracanie się plecami—to program wprawdzie nadzwyczaj prosty, ale też niemniej jałowy.

Przesadzają grubo białoruscy publicyści, kiedy tłumaczą swoim czytelnikom, że polacy u nas to prawie sami panowie. Ale faktem jest, że przy liczebnej słabości pewna przewaga ekonomiczno-kulturalna jest po naszej stronie. Słabość liczebna i rozproszenie zmuszają nas tembardziej do postawienia na pierwszym planie pracy kulturalnej nad własnym narodem. Tak być musi, jakkolwiek publicyści owi wołają w tem widzieć tylko jałową pańską fantazję, coś w rodzaju inspektów z delikatesami wśród ugoru, który należałoby wraz z miejscem, przez inspekty zajętem, zasiał żytem na chleb. Wobec jednak tej przewagi kulturalno-ekonomicznej coś się od nas temu ludowi, stanowiącemu $\frac{3}{5}$ otaczającej nas ludności, należy. W zasadzie nic nie mam przeciw egoizmowi narodowemu, byleby stawiał swe zadania i pożądanja na niezbyt krótką metę, chociażby według rady niezgorszego polaka, Bolesława Prusa, z jego „Najogólniejszych ideałów życiowych“. Rada na tem polega, iż ten, kto chce się dobrze zachować wobec zmiennych okoliczności zewnętrznych, powinien dbać przede wszystkim o to, żeby stać się w możliwie najwyższym stopniu i najszerszym promieniu *użytecznym* swemu otoczeniu.

Chyba ślepy nie widzi, że rozkład starej pańszczyźnianej duszy otaczającego nas ludu białoruskiego ma się ku końcowi, a nowa kształtuje się w obcej szkole: w szynku i amerykańskich pieklach wielko-przemysłowych. Są rzeczy, których lud ten

znajomość stosunków pomiędzy rzeczami, która tak wyniosła człowieka.

Ta pierwsza praca myśli, skierowana ku ściśle określonymu celowi: zadowolenia odczuwanej społecznie potrzeby, ta praca myśli znała tylko dwa elementy: siebie i przedmiot, ku któremu zmierzała. Wszystko inne wchodziło w zakres jej świadomości o tyle tylko, o ile przeszkadzało osiągnięciu zamierzonego celu. Znow więc w odniesieniu do tych samych dwóch elementów. *L. Ward* nazywa ten rodzaj pracy psychicznej „intuicją“. Nie jest ona tem samem, co intuicja *Bergsona*; — u *Bergsona* będzie się to raczej nazywało „instynktem“. Nie ulega jednak wątpliwości, że w pojęciach tych są punkty styeczne.

Ale oto przychodzi myśl ludzka, myśl, która obejmuje nietylko stosunek pomiędzy działającą jednostką i bezpośrednim najbliższym celem jej pragnień, ale obejmuje także stosunki pomiędzy rzeczami, stosunki napozór obojętne; zajmuje się niemi napozór bezinteresownie. I to bezinteresowne badanie obojętnych stosunków daje w ręce człowieka narzędzie, maszynę i t. d., i t. d. aż do metafizyki włącznie.

pragnie jeszcze bardziej niż wódki: pieśń, muzyka, teatr, nauka.

Jesteśmy polakami. Niejednemu byłoby może weselej, gdyby białorusini zaczęli śpiewać, zamiast swoich tęsknych melodji, skoczne krakowiaki; ale to jest sprzeczne z ich odrębną psychiką. Narzucić im tego nie możemy, a żołdacko-szynkowiana poezja, która pełni się coraz szerzej, jest obcą i wstrętną zarówno nam, jak i białoruskim idejowcom. Skuteczną tamę tej mętnej powodzi najprędzej może położyć ocalenie od zagłady i rozwój własnej poezji białoruskiej. Do rozpowszechnienia i artystycznego opracowania można wybierać utwory najpiękniejsze z niewyczerpanego zapasu. Byłem świadkiem, jak słynny zbieracz, *M. Federowski*, od jednej dziewczyny wydobyl w ciągu tygodnia około 300 pieśni, a jego współpracownik zapisał nuty 70 motywów. *Krakowska Akad. Um.* wydała z jego zbiorów 3 spore tomy.

Pieśni i przysłów jeszcze tam nie było. Systematyczne zapisywanie w kilku tylko powiatach prowadził on około lat 20, a samych notatek z przysłowiami widziałem u niego około puda. Co się stało z tą benedyktyńską pracą jednego człowieka, czy znaczna jej część nie pójdzie na marne, tego nie wiem. *B. Piłsudski* tak poznał całkiem obcych nam ajnów, do których rzuciła go przemoc, jak nikt inny na świecie, jak nikt z nas nie zna białorusinów, pośród których żyjemy od tylu pokoleń. Nie stawiam tu na pierwszym planie czysto-naukowego gromadzenia materiałow, których potem niema komu wydawać i czytać; chociaż i to wiedziałem, że białorusinka, mówiąca po polsku, nie dawała się zachęcić do czytania najbardziej, zdawało się, odpowiednich dla niej polskich ksiązek ludowych, a kiedy raz wpadły jej do rąk zbiory *Federowskiego*, spędzała nad niemi wszystkie wolne chwile. Najpilniejszym zadaniem byłoby wybieranie pereł ze zbiorów już istniejących i — przez rozpowszechnianie ich — zwracanie temu ludowi, jednemu, jaki większość z nas zna nie z książki, a z życia, tych korzeni jego własnej duszy jeszcze żywych, ale wędnących pod wpływem chronicznej posuchy. Nie wątpię, że na nich łatwo dałyby się zaszcześcić w przyjaźniejszych warunkach naj-

Długie i nieskończone, pełne najrozmaitszych i przedziwnych splotów i powikłań, są dzieje tego wykluwania się kolejno jednego po drugim tych strumieni życia psychicznego człowieka. U początku tej drogi stoi wola, przez nieustanne wysiłki stwarzająca sobie cudowne narzędzie w postaci rozumu.

Wreszcie pojawia się ten rozum, z pragnień i z dążeń, jak *Ewa* z boku *Adamowego* i tak samo niezdolny nic stworzyć z siebie bez zapłodnienia przez wolę, (patrz *Schopenhauer*), tworzący tylko wówczas, kiedy kieruje nim „*vis a tergo*“, siła popychająca, bo sam on siłą nie jest, tylko narzędziem w rękach siły jedynej — woli.

Tymczasem jednak rozum się wyzwala, wzrasta, komplikuje, staje się niepojęty już dla tej siły, która nim kieruje i ogłasza siebie za władcę. Na wszystko patrzy pod kątem własnym, wszystko mierzy sobą, uznaje tylko siebie i wszystko inne sobie podporządkowuje.

(C. d. n.)

piękniejsze płonki tak naszej, jak i innych starszych i bogatszych kultur.

Miłośnicy Tatr starają się ocalić w nich od zglądady niedźwiedzie, świstaki, szarotki i t. d. Czyż nie wdzięczniejsze pole do tego rodzaju pracy zbiorowej mamy wkoło siebie? Tu nie jednej „Luczynki“ i „Sochy“ potrzeba. Czyż godzi się na pierwszą z nich dmuchać i nas od niej odciągać, niby od jakiegoś konkurencyjnego sklepiku, pod najrozmaitszymi pretekstami?

Jeden z owych pretekstów głosi: „Szczerzy prawdziwi białorusini, pragnący podnieść kulturalnie swój lud, nie osiągną żadnych celów, bo czasy nie są po temu; u nas w chwili obecnej wolno być tylko białorusinem-rosjaninem“. Któż nie zna tej genialnej formuły: polaków w gub. mińskiej nie ma, są tylko białorusini, a białorusini są rosjanami. Czy jednak autor powyższego zdania zachęca nas naprawdę, byśmy się do niej akuratanie dopasowali? Trzebaby nas pierwej skrócić o głowę. Troskę o gaszenie łucznynek pozostawmy tym, którzy za to chleb jedzą.

Ideał przyszłego społeczeństwa różnonarodowego, jak nasze, ideał, o którego wcielenie wspólnymi siłami pokusić się warto, można sobie uprzytomnić poglądowo w najpiękniejszych zakątkach Białowieży.

Stoją obok siebie kilkusetletnie pnie, wyniosłe, równe jak świece, bez sęka na jakie dziesięć sążni w górę, wszystkie szarą korą pokryte, zdolu ogromnie do siebie podobne. Trzeba dobrze podnieść głowę, żeby poznać po koronach, gdzie dąb, jasion, gdzie lipa.

A dzik, który powierzchownie podrywa ich korzenie i zjada żołędzie, prawdopodobnie wcale się nie orientuje, czyj korzeń obnażył i czy żołędzie spadły z dębu, z lipy, czy z jasionu.

Napoleon Czarnocki.

Religia, kościół, klerykalizm.

Trzeba dokładnie odróżniać pojęcia takie, jak religia, kościół, klerykalizm.

Religia należy do najbardziej subiektywnych przejawów twórczości ducha ludzkiego. W niej się wyraża synteza działalności wszystkich władz psychicznych człowieka, próba rozwiązania najtragiczniejszych zagadek bytu, sięgających zarazem prazródła, jako też celu wszelkiego istnienia. Ponad fragmentami spostrzeżeń, wrażeń i poszczególnych etapów świadomości, czy też wiedzy i czucia, duch ludzki, wieczysty budowniczy świata, konstruuje jednolitą formę całości Wszechbytu. W niej wyraża swe najgłębsze przekonania i instynkty, wyniesione z kolebki dziejowej i przekazane mu tradycją pokoleń; wiąże poszczególne spostrzeżenia swoje z całokształtem swej pracy myślowej i uczuciowej, godzi wiedzę pozytywną z najgłębszą tęsknotą do sprawiedliwości, prawdy i doskonałości zupełnej. Jak w stylowych budowach architektonicznych streszcza się wyraz określonej kultury, tak w religii jednostek, grup czy narodów streszcza się ich psychika jednostkowa czy zbiorowa, ich dola czy niedola dziejowa, ich ewolucja, właściwa danym warunkom bytu i pracy. Jeżeli nawet weźmiemy systematy religijne tak rozwinięte, zakończone i, zdawałoby się, raz na zawsze ustalone w określonym stałym wyrazie, jak katolicyzm,

to i tu przecie dostrzeżemy duże różnice w konkretnym jego wyznawaniu: naprz. przez klasy uprzywilejowane, dostatnie, a klasy ubogie, wyzyskiwane, lub przez narody bogate, szczęśliwe, wolne, a narody ujarzmione i walczące z przemocą. Jeszcze większe ujawnią się różnice, jeżeli badać będziemy jakiś systemat religijny w jego rozwoju historycznym. Innem było oczywiście chrześcijaństwo pierwszych wychodźców żydowskich, zwiastujących dobrą nowinę odkupienia umęczonej ludzkości, innem było ono w czasach męczeńskich tajemniczej sekty w starym Rzymie; innym katolicyzm średniowiecza feudalnego, innym katolicyzm współczesny.

Religia nie jest li tylko ślepa wiara, nie jest też jakąś formą biernej i bezmyślnej uległości nakazom z góry. Niepodobna aby religia danego osobnika była w zatargu z jego przekonaniem i wiedzą. Mielibyśmy tu do czynienia z obłudą, z formalną przynależnością do jakiegoś kościoła, lecz nie z religią właściwą, wyznawaną.

Jeżeli zakres i treść wiedzy danego osobnika czy też jego ideje, pragnienia, jego świadomość wogóle — nie godzi się dla tych czy innych względów z treścią jego dotychczasowej religii, to znaczy że związek, który zachodził między poszczególnymi elementami jego twórczości myślowej i uczuciowej, został zerwany. Taki człowiek w ewolucji swej wybiegł poza ramy tego, co poprzednio stanowiło dla niego prawdę. Musi on przeto posiadać prawdę inną, nową, która będzie dokładnie odpowiadała stanowi jego wiedzy, ideałów, pragnień, tęsknot. W tem oto się wyraża nieustająca twórczość religijna, połączona z ciąglem pogłębianiem się i wydoskonalaniem prawdy, subiektywnie wyznawanej.

O ile się na wyższych poziomach rozwoju kulturalnego pogłębia indywidualizacja jednostek ludzkich, o tyle też twórczość religijna coraz bardziej się subiektywizuje. To też w społeczeństwach dojrzałych, bardziej zaawansowanych w postępie kulturalnym, próby poszczególnych rozwiązań zagadnienia religijnego nie upowszechniają się tak w masach, jak wśród społeczeństw młodszych. Powstawanie nowych sekt ścisłych ustaje; natomiast coraz bardziej się wydatnia indywidualizacja subiektywnej religii jednostek.

Zwalczanie źródeł twórczości religijnej jest rzeczą jałową, niewykonalną i szkodliwą. Dopóki umysł ludzki pozostanie tem, czym jest, dopóty twórczość religijna, jakkolwiek się nazywać będzie, nie ustanie. Człowiek nigdy się nie zadowolni wiedzą pozytywną, nigdy się nie wyrzeknie potrzeby ustalania związku między elementami procesu myślenia, czucia, pragnienia, oraz wyznawania określonej prawdy.

Twórczość religijna jest przeto nieśmiertelna w ramach ludzkości.

Zjawisko religii łączy się z innym — zjawiskiem kościoła. Kościół — to zrzeszenie „wiernych“, społeczność wyznawców pewnej religii. W zakresie dziejów kultury ludzkiej kościół ma znaczenie olbrzymie.

Skoro religia jest produktem twórczości ducha ludzkiego, wyrażać się w niej muszą, i rzeczywiście wyrażają się, wszystkie jego elementy, wszystkie czynniki składowe. Oczywiście więc i czynniki rasowe, i stare, z kolebki dziejów wyniesione, doświadczenia i nawyki, i przechowane w świadomości i czuciu, w obyczajach i wszelakich nakazach tradycje przeszłych pokoleń, — składające się na konkretną treść ducha ludzkiego, znajdują swój wyraz w religii. Jak dzieło nie może być wyodrębnione od autora, tak religia nie może być wyodrębniona od jej twórcy i wyznaw-

cy. W kościele, t. j. w ciągłym zorganizowanym obcowaniu wyznawców pewnej religii, nabiera ona cechy jednostajności, pewnej niewzruszoności treści i kształtu. Swobodna twórczość religijna jednostki tu się ujarzma, ujmuje w karby określonych pewników, danych z góry, zawczasu. Prawda subiektywna pierwszych twórców danej religii i pierwszych jej wyznawców przekształca się w kościele z niewzruszoną świątynią dogmatów—absolutów, które się stają w pojęciu jej późniejszych wyznawców czemś istotnie niezależnym od twórczości ducha ludzkiego. Kościół, przez ciągle nieprzerwane obcowanie jednostek i pokoleń ludzkich, utrwala znakomicie pierwiastek ciągłości i tradycji, dodaje niesłychanej mocy pewnikom pochodzenia pierwotnie subiektywnego, utrwala władzę przeszłości nad zmienną ewolucją wypadków dziejowych. Krystalizacja prawdy subiektywnej w kościele jest czynnikiem pierwszorzędnej wagi kulturalnej, zwłaszcza na tych stopniach rozwoju dziejowego, kiedy stosunki między ludźmi i narodami były o wiele rzadsze i uboższe, niż są obecnie. W szczególności naprz. kościoły chrześcijańskie, a zwłaszcza katolicki, który do czasu reformacji skupiał wszystkie narody zachodnio-europejskie, dokonał olbrzymiego dzieła: wypiastował kulturę europejską, zespolił najszczytniejsze ideały, wyrosłe ze wschodniej kultury semickiej, z kulturą szczepów aryjskich. Zachowawcza rola kościołów, utrwalająca owoce twórczości ludzkiej i strzegąca ciągłości dziejowej, staje się wszakże stopniowo czynnikiem uwstecznienia społeczeństw, gdy już duch ludzki w swej pracy myślowej i uczuciowej wszedł za poziom prawdy w nich utrwalonej,

Jakkolwiek wewnątrz kościołów twórczość religijna jednostek i narodów nie zanika nigdy całkowicie, jednakże zakres wpływów swobodnej twórczości jest tak nikły wobec dogmatycznej siły tradycji, że na pewnym stopniu rozwoju, czy to wogóle wiedzy i potrzeb duchowych ludzi, czy też w szczególności postępów indywidualizacji jednostek,—ramy kościoła stają się dla cywilizacji za ciasne.

Co do naszej kultury zachodnio-europejskiej, to już w epoce Odrodzenia ujawnił się wielki ruch zbiorowy, znany pod nazwą Reformacji, wszczęty przez najtęższe umysły ówczesnej ludzkości i zmierzający do przełamania dogmatycznych ram kościoła i otwarcia dróg dla swobodnej twórczości religijnej wyznawców Ewangelji. Społeczeństwa, które wtedy odpadły od katolicyzmu, utworzyły wszakże nowe kościoły, luźniejsze już od katolickiego, zwłaszcza słabiej przeważnie zorganizowane, ale niemniej kościoły.

Odtąd nie ustawały wysiłki do przełamania władzy kościoła nad rozwojem cywilizacji. Wysiłki te dadzą się stwierdzić w dwóch zasadniczych kierunkach. Z jednej strony jest to ruch t. zw. wolnomyślicielski, który ma na celu mniej więcej te same zadania, jakimi się kierowała pierwotnie Reformacja, a przynajmniej jej rzecznicy najwybitniejsi i najświetlejsi. Ruch to, skierowany do wyzwolenia pierwiastka swobodnej twórczości religijnej, t. j. wogóle duchowej człowieka. Pod nazwą ruchu wolnościowego mamy tu na względzie nie tylko ściślejszą akcję t. zw. wolnomyślicieli, prowadzących zorganizowaną w rozmaitych związkach, ligach, kółkach i w specjalnych pismach walkę z katolicyzmem, czy nawet rzekomo z religią, a jak niektórzy — i z Bogiem, lecz cały zakres tych wysiłków, które dogmatyzmowi przeciwstawiają swobodną twórczość. Do tego ruchu zaliczam też rozmaite, bardzo skądinąd ciekawe, głębokie i poważne wyniki reformatorskie wewnątrz samego kościoła:

jak rozmaite dążenia wielu wybitnych katolików świeckich, jak potępiony niedawno przez najwyższą władzę kościelną t. zw. modernizm katolicki, jak też poszczególne prądy, ujawniające się w ruchu t. zw. chrześcijańsko-społecznym, lub wśród młodzieży katolickiej na zachodzie, a nawet u nas. Postęp kultury, którego jednym z wyrazów jest pogłębienie indywidualizacji ludzkiej, sprawia, że twórczość religijna jednostek ludzkich coraz trudniej się mieści w ramach dogmatów obowiązujących i szuka swobodnego ujścia. W sferach inteligienckich zwłaszcza uciążliwość dogmatyzmu kościelnego jest najbardziej odczuwana. Jeżeli wiele osób z tych sfer nie bierze jednak udziału w tym ruchu, to albo dlatego, że poprostu same się już od władzy dogmatu rozgrzeszyły, a kwestja trwania tych dogmatów w umysłach innych ludzi jest dla nich obojętna; albo znów dlatego, że się obawiają występować do walki z organizacją tak wciąż dotąd silną i wpływową, jak kościół; albo wreszcie dlatego, że chodzi im o zachowanie w postaci kościoła potężnego narzędzia konserwatywnego społecznego.

Niemniej wciąż jeszcze dotąd kościół dla ogromnej masy ludzi jest formą, całkowicie zaspakajającą ich potrzeby religijne. Dla nich jest potrzebny, nie można przeto twierdzić, jakoby przestał już spełniać funkcję kulturalną.

Z drugiej strony do walki z kościołem zwracają się nowoczesne prądy społeczne, które się nie godzą z ustrojem obecnym i opierają ideały swoje na całkowitej przebudowie stosunków. Dla nich szkodliwą jest w kościele nietyle jego dogmatyka ściśle religijna, ile wogóle ta rola zachowawcza, rola utrwalania wpływów przeszłości, którą w społeczeństwie pełni. Zorganizowana społeczność wyznawców pewnej religii stanowi pierwszorzędą ostoję dla wszelkich tradycji: czy będą niemi tradycje danego układu społecznego, czy też formy państwowej, czy bytu narodowego. W kościele wszelkie formy przeszłości znajdują dla siebie oparcie, wsiąkając niejako w religję i przez nią się uświęcając, potężniejąc. Oczywiście, że tą drogą zyskują na sile częstokroć zarówno pierwiastki ujemne, jak i dodatnie, działające przeciw procesom rozkładowym rozmaitych czynników dziejowych o pozornej tylko wartości kulturalnej.

Widzimy więc np. kościół — jednocześnie atakowany przez postępowe elementy społeczne, i — j. naprz. u nas — przez najwsteczniejszą reakcję rosyjską, przez ten cały aparat zasadniczo wrogi kulturze i sprawie ludowej. Bo kościół, choć z jednej strony jest ostoją prądów i form przeżytych, wszelako w stosunku do mas ludowych — był on, a nawet w dużym stopniu jest dotąd, opoką zasadniczych pierwiastków kultury. Stosuje się to zwłaszcza u nas do kościoła katolickiego, który staje w obronie podstaw cywilizacji zachodniej wobec zachłanności — Byzantynizmu.

Tak więc widzimy kościół, atakowany z jednej strony przez prądy wolnościowe, z drugiej przez najobskurniejszą reakcję, walczącą pod hasłem niewoli i przywilejów. Ale oczywiście żadnego sojuszu między kierunkami temi być nie może. To, co w danym razie chciałaby zwalczyć w kościele reakcja państwowa, jest w naszych warunkach wyrazem kultury i postępu. A zatem postępowe prądy społeczne, któreby chciały dla przełamania zachowawczych wpływów kościoła poprzeć jego obecny ucisk, popełniłyby zbrodnię przeciwko sprawie ludowej, zaprzeczyłyby własnym

założeniom postępowym i splamiłyby się hańbą w obliczu dziejów.

Akcja postępowych elementów społecznych, skierowana przeciwko zachowawczym wpływom kościoła, musi być u nas bardzo oględna, a w każdym razie wyraźnie przeciwstawiona uciskowi administracyjnemu. Nie można ani na chwilę zapomnieć, że warunki nasze są tak różne od zachodnio-europejskich, iż ta sama instytucja, która tam pełni funkcje li tylko wsteczne, u nas przechowuje równocześnie dużo zabytków żywotnych i dodatnich, jako też, że na naszym poziomie kultury duchowej kościół dla licznych rzesz ludu nie jest jeszcze bynajmniej hamulcem postępu, jeno naturalnym i odpowiednim wyrazem ich potrzeb religijnych.

Najszkodliwszem atoli dla wszelkiego postępu — jest wyrastające na gruncie kościoła zjawisko — klerikalizmu.

Znakomita karność wewnętrzna, spoistość organizacyjna na zewnątrz — cechują kler i robią zeń olbrzymią potęgę, świetny mechanizm dla zbiorowego czynu. Władza naczelną, jaką rozporządza kler w kościele, jego autorytet wykonawców woli boskiej, bezpośrednich namiestników i apostołów niewzruszonej i jedynej prawdy, zamkniętej w dogmatach, — to są atuty niepospolitej wagi, zapewniające nieograniczony niemal wpływ na umysły wiernych.

Rozporządzając wpływem tym, — kler sięga już nietylko po władzę nad duszami w ich stosunku do pozaziemskiego świata, ale też gdzie może — po władzę społeczną. Sfery inteligienckie są wogóle wolniejsze od władzy klerikalizmu, chociaż i tu całe szeregi i tłumy jednostek dają się zaprzęgać do rydwanu klerikalnego ze względu na wszechmocną siłę kleru, która sprzymierzeńcom swoim zapewnić umie mnóstwo sukcesów życiowych, a przeciwników zmiatać z całą bezwzględnością. Klasy posiadające, korzystające z przywilejów społecznych: arystokracja, burżuazja, chętnie więc sprzymierzają się z klerem dla zapewnienia sobie przywilejów, dla tworzenia przeciwwagi radykalnym prądom społecznym. Najenergiczniej walczy kler o władzę nad ludem, nad klasami wyzyskiwanymi. Dopóki jakieś prądy radykalne zamykają się w sferach inteligienckich, dopóty kler zachowuje się biernie, poniekąd tolerancyjnie nawet. To bowiem nie zagraża bezpośrednio jego wpływom, jego stanowisku. Gdy wszakże jakaś akcja społeczna, o zabarwieniu mniej lub więcej radykalnem, ujawnia się wśród mas ludowych, kler nie zaniedbuje żadnych środków dla jej stłumienia.

Rola wszakże kleru w dążeniu do zmonopolizowania wpływu na masy nie ogranicza się tylko do negowania akcji elementów radykalnych, do odpięcia wpływów dlań szkodliwych. Klerikalizm jest agresywny. Dąży on do czynnego opanowania całokształtu potrzeb ludowych, — oświaty, organizacji gospodarczych, filantropji, rozrywek kulturalnych i t. d. Wszystko, co jest wyrazem potrzeb ludu, czy to wiejskiego, czy miejskiego, powinno, w myśl wskazań klerikalnych, być w ręku duchowieństwa i ulegać jego kierownictwu.

Przy wielkiem zaniedbaniu pracy społecznej w kraju naszym robota kleryków dawać może gdzieś gdzie pożytek doraźny. Wszakże zasadniczo klerikalizm jest w ruchu społecznym antytezą demokracji. Istota demokracji polega na tem, że akcja społeczna jest bezpośrednim wyrazem odpowiednich potrzeb, które się organizują samodzielnie i samodzielnie w zbiorowym czynie dążą do swego zaspokojenia. Ruch

wszelki o tyle tylko może być twórczy, o tyle tylko jest w stanie dać właściwy wyraz potrzebom i kształtować organicznie kulturę kraju czy narodu, o ile się dokonywa nie w drodze opieki, dozoru i posłuszeństwa, lecz w drodze demokratycznej. Istota zaś klerikalizmu polega właśnie na tłumieniu twórczego pierwiastka samodzielności, na opiece i posłuszeństwie k'woli specjalnym aspiracjom kasty, k'woli wzmożeniu jej stanowiska i władzy w społeczeństwie.

To też demokracja i klerikalizm wszędzie i zawsze przeciwstawiają się sobie, pomimo że działają wśród mas ludowych i organizują te same zasadniczo pierwiastki potrzeb. Inne atoli są ich metody działania, inne założenia i cele. Gdy demokracja dąży do ruchu, postępu, swobody, klerikalizm przede wszystkim pilnuje bezwładu i zależności mas ludowych. To też zgody i kompromisu między nimi być nie może. Ruch demokratyczny wszędzie i zawsze musi się ruchowi klerikalnemu przeciwstawiać — to znaczy musi go zwalczać.

Ale zwalczanie klerikalizmu nie jest samo przez się zwalczaniem kościoła, a tembardziej — zwalczaniem religji.

M. R.

Dalekie echa.

Wszelkie poruszenie fali społecznej, biorąc początek gdzieś w nizinach ludowych, w niewidzialnych z lotu ptaka zakamarkach warsztatów fabrycznych, zaułków przedmiejskich lub w chatkach wiejskich musi — z natury rzeczy — zamącić spokój i bezwład warstw sąsiednich, które — pomimo obcości i różnic — są poprzerastane wzajemnie i spojone cementem mocnym ustroju gospodarczego i państwowego.

Przeszkody i tamy, które fala nizin na drodze swej spotyka, opór i ciężar warstw wierzchnich często tłumią jej rozpęd — tak, że drobne nawet drgnienie powierzchni nie daje pojęcia, znaku o procesach, zachodzących w głębinie. Dochodzą tu jedynie echa dalekie, głuche i stłumione.

A jednak... jeżeli uderzenia tej fali powtarzają się stale, jeżeli jej echa głuche wciąż dają się słyszeć na powierzchni, to, choć fala sama przez się nie wydaje się groźna, choć opór i ciężar warstw górnych gwarantuje zachowanie przez czas pewien równowagi, jednakowoż wkrada się w atmosferę „powierzchni“ pewien niepokój, pewne rozdrażnienie, zdenerwowanie.

Tym procesem złożonym objaśnić należy zmiany, które zaszły w czasach ostatnich na Olimpie biurokracji rosyjskiej.

Olbrzymia machina biurokratyczna, opłatająca po dzień dzisiejszy w znacznej mierze życie państwowe, była i jest związana w całość nie z wewnątrz, a z zewnątrz. Poszczególne dykasterje i ministerja funkcjonowały i funkcjonują samodzielnie, a utrzymując ze sobą luźny tylko związek, często robią jedno drugiemu naprzekór. Urząd premiera, datujący się od roku 1905, jest nominalny. Kierownictwo polityki wewnętrznej nadal pozostaje głównie w ręku ministra spraw wewnętrznych, zależnego bezpośrednio od czynników decydujących. Stołypin, który sam urząd

ten sprawował, mógł istotnie do pewnego stopnia reprezentować kierunek działalności rządu.

Zgola inne jednak było stanowisko Kokowcowa. Jako minister finansów, nie miał on bezpośredniego wpływu na politykę wewnętrzną; jako zaś skarbnik imperjum, w którym ustrój kapitalistyczny coraz więcej się rozwija, nie mógł być bezwzględny wyznawcą polityki cyrkulowej. Dbał jedynie o to, by monopol funkcjonował prawidłowo i budżet nie wykazywał deficytu. Typowy biurokrata, nie był zwolennikiem żadnych reform; ale zarazem, będąc finansistą, nie lubił ostrych kantów, ni gwałtownych giestów. Był człowiekiem kompromisu i złotego środka. Koledzy z gabinetu: Sabler, Maklakow (przedtem Makarow), Kasso, Szczegłowitow i Ruchłow — działali każdy na swoją rękę — niezależnie zupełnie od premiera. I w czasach normalnych, zacisznych — mógłby Kokowcow jeszcze lata być „liberałem“, rozwijać monopol wódczany, rozpajać lud, a, byle tylko pieniądze na potrzeby bezdenne poszczególnych ministerjów nie zabrakło, nikt by mu spokoju nie zakłócił.

Niestety, odgłosy fal, przewalających się na nizinach od czasu rzezi Leńskiej i niepokojących coraz szersze i wyższe kręgi społeczne, przyprawiły ministrów i sfery biurokratyczne z Rady Państwa o stan chronicznego rozdrażnienia. Pod wpływem tego ostatniego różnice poglądów między ministrami uwypukliły się. Nastąpiły starcia coraz ostrzejsze, coraz częstsze. Poczęto szukać winy i winowajcy w otoczeniu najbliższem. Zauważono rozdźwięk w łonie rządu, wobec możliwego niebezpieczeństwa niepożądanego. I koźlem ofiarnym stał się Kokowcow.

Nastrój biurokracji i stosunek jej do Kokowcowa w czasach ostatnich maluje jaskrawo na łamach swego „Grażdanina“ protektor Barka, ks. Mieszczerskij, który pisze o byłym premierze w ten sposób: „Ongi cichy minister, który jeszcze rok temu krytykował kult polityki w Stołypinie, stopniowo starał się a przynajmniej starał się stać jakimś upartym, niezgodnym i bezgranicznie samowładczym despotą oraz jakimś quasi—Machmavellim w polityce schlebiana Dumie i jej partjom opozycyjnym...“

Konterfekt — istotnie zastraszający. Lojalny biurokrata został tu ucharakteryzowany na Cromvella.

Bezpośrednim powodem katastrofy gabinetowej stał się, o dziwo! — jedyna bodaj duma społecznej państwowości rosyjskiej — budżet, budżet, dający „plusy“ i gotówkę w banku państwa. Tego najmniej mógł się spodziewać minister skarbu; ale, cóż robić, tak się złożyły okoliczności.

W usposobionej wrogo dla Kokowcowa Radzie Państwa rozważany jest od dłuższego czasu projekt prawa o walce z pijaństwem.

Posiadaczami gorzelni i dystylarni w Rosji są przeważnie wielcy właściciele ziemscy, a więc ci sami biurokraci z Rady Państwa, ministerjów etc.

Wszelkie prawo, zmierzające do ograniczenia pijaństwa, — to prawo, wymierzone przeciw ich kieszeni, ich bezpośrednim interesom. Zrozumiałe jest przeto, że projekt ten został w Radzie przyjęty z niechęcią, że 2 lata czekać musiał na swą kolej. Odrzucić go przecież całkowicie było nie sposób. Spustoszenie, jakie poczynił i czyni alkohol wśród ludności państwa, zwłaszcza zaś jego gubernji rdzennych, centralnych (Mienszykow i to uważa za krzywdę ze strony „inorodców“) — są okropne. Alkohol przyczynia się do rozpowszechniania się chorób wenerycznych i z każdym rokiem podnosi śmiertelność. Są wsi całe w gubernji włodzimierskiej, gdzie niema ani jednego

człowieka, nie zarażonego luesem. Grozi to zmniejszeniem się ilości i obniżeniem jakości rekruta, a więc — bezpieczeństwu państwa. Pozatem, sfery w czasach ostatnich przysły do przekonania, że alkohol ma w sobie niebezpiecznego robaka, że, używany stale i równomiernie, może podniecać nie tylko zmysły, lecz i ducha... buntu.

Lekceważyć tego rodzaju objawów biurokracja nie mogła. Wobec tej sytuacji, arcy niemiłej dla gorzelników z Rady Państwa, poczęto zastanawiać się nad kwestją zachowania produkcji przychodu gorzelni *instatu quo ante*, a zarazem usunięcia złych skutków pijaństwa. Jak to pobożne życzenie uskutecznić, z tego sobie czcigodni radcy sprawy nie zdawali i nie zdają, mimo pomocy i wskazówek kompetentnego hr. Wittego. Lecz, że minister skarbu tych komplikacji wczasu nie przewidział, nie usunął i na przykrość wymierzania ostrza praw przeciwko sobie samym członków wyższej izby prawodawczej naraził, za to musiał „zapłacić“. Nazywa się zaś to — „Nemezys historji“. Ładna Nemezys!

Na następcę Kokowcowa w dziedzinie finansów, Barka, zostały włożone ciężkie obowiązki: pogodzenia sprzeczności — usunięcia widma groźnego pijaństwa, a zarazem nie naruszenia równowagi budżetu.

Z godną podziwu lekkomyślnością powitała zadania te liberalna prasa rosyjska. Ekonomista urzędowy „Riecz“, Tuchan-Baranowskij, sądzi i dowodzi, że wyprowadzić budżet ze stanu podniecenia alkoholicznego, bez uszczerbku dla jego całości — w warunkach obecnych — nie jest rzeczą niemożliwą; a redakcja organu Milukowa w innym miejscu pisze, że partja kadetów gotowy p'ann uzdrowienia nie tylko finansów, lecz i państwa posiada. Chodzi o drobnostkę — o zgodę drugiej strony.

Położenie nowego ministra, o ile zadania jego brać na serjo, jest beznadziejne. Jako minister finansów, może on powetować wpływające dotąd z monopolu 675,000,000 rubli (r. 1912) tylko dwiema drogami: albo przez zwiększenie podatków bezpośrednich, które stanowią drobny zaledwie procent budżetu państwa (243,3 miliony rubli r. 1912), a więc — obciążenie podatkiem dochodowym warstw zamożnych, co byłoby jedynie sprawiedliwe, lecz jest niewykonalne, lub też drogą podatku pośredniego (większy akcyzę na cukier, naftę, zapaliki) wydobyć ich z mas ludowych, co jednak, mimo najlepszych chęci — tak świetnej cyfry nie da.

Wreszcie sprawa podniesienia przedsiębiorczości i energii obywatelskiej, rozwoju gospodarczego, jako też budowanie na tych fundamentach nowego budżetu, to zadania te przekraczają sferę działalności najzdolniejszego nawet finansisty.

W pracy tej, obliczonej na lat dziesiątki, musieliby spóldziałać z ministrem skarbu nie tylko wszyscy pozostali członkowie gabinetu, nie tylko cała prawodawcza i cała biurokracja, lecz i... usamodzielnione społeczeństwo rosyjskie.

W tego rodzaju Arkadje, nie wierzą — jak sądzimy — nawet Kadeci. Echa dalekie fali społecznej mogły zamącić powierzchnię, lecz przeobrazić jej nie są w stanie. Na to potrzeba nawałnicy.

Dla nas, polaków, zmiany, dokonane w łonie rządu, to tylko zmiana — nazwisk.

Wi—ski.

Listy z Krakowa.

Kraków, dn. 20 lutego.

(Kraków, jako „stolica duchowa Polski“, — Kraków, a Kraków... — Rozbieżność pomiędzy tendencjami mieszczaństwa, a zamierzeniami czynników kulturalnych. — O teatrze miejskim krakowskim).

Czy zwiedzający Kraków w X wieku podróżnik żydowski Ibrahim-ibu-Jakub i geograf arabski z XI-go wieku, Al-Bekri wspominają o Krakowie jako o mieście kulturalnem—nie pamiętamy; faktem jest natomiast, przez nas stwierdzonym, że jako o mieście dużej kultury wspomina już o Krakowie na początku XII stulecia uczony arabski Edrisi. Przez całe wieki Kraków uważany był za duchową stolicę Polski. I słusznie. Złożyły się na to: jego i całej Polski historyczna przeszłość, geograficzne położenie Krakowa, atakże te mniej szczęśliwe, (by nie rzec nieszczęśliwe) warunki, w jakich — zwłaszcza w późniejszej epoce — znalazły się Wielkopolska, Mazowsze i inne dzielnice Rzeczypospolitej. Pomimo wzrostu olbrzymiego Warszawy, pomimo przerostu Krakowa pod względem liczby mieszkańców i bilansu budżetu miejskiego przez tyle miast innych, pomimo tylu zmian, zasłych w Polsce, pomimo utraty znaczenia politycznego i handlowego, Kraków po dziś dzień zachował stanowisko duchowej stolicy całej Polski. Mocne są w Krakowie tradycje historyczne, tradycje kulturalne, i te czynią zeń miasto nie tylko przemawiającej do nas językiem wspomnień historycznych przeszłości, — lecz i żywe „Ateeny“ polskie, kujące niestrudzenie na kowadło dawnych tradycji młotem wybiegających w Przyszłość nadziei nowe horyzonty dla polskiej, twórczej, marzącej wciąż o nowych zawrotnych lotach narodowej Psyche.

Są jednak rysy, są sprzeczności, które nie dadzą się ukryć, gdy analizować zechcemy życie duchowe Krakowa, jako pojęcia zbiorowego istnienia 150 tysięcy jego obecnych mieszkańców. Są nieustanne tarcia, nie dające się zatuszować i zamaskować blichtrzem zewnętrznych dekoracji, są głęboko — bo aż do rdzenia — aż do fundamentów idące załomy, mówiące o głębokim rozdzieleniu, o tych różnorodnych, sprzecznych tendencjach, które z Krakowa czynią tylokrotnie... polskie Forum Romanum i polskie Ateeny — lecz tylokrotnie i... polski Pociójów, lub — polskie Smorgonie. Nie da się ukryć fakt, że mieszczaństwo krakowskie nie dorosło do tej szczytnej kulturalno-cywilizacyjnej roli, jaką historia przekazała Krakowowi. I oto tu geneza rozbieżności pojęć o Krakowie... Kraków bajecznej architektury, Kraków Wawelu, Zamku Królewskiego i Skalki, Kraków — w salach Akademii Nauk i w murach Uniwersytetu skupiający płodną myśl polską, w Akademii Sztuk pięknych goszczący Grotgera, Matejkę, Wyspiańskiego, Malczewskiego, Mehofera, Fałata i t. d. — Kraków kuznica wiecznie płonącego i w nieśmiertelność rwącego się ducha i... Kraków filisterski, lub ciężący ku filisterstwu, Kraków mieszczaństwa i urzędników, małych gieszeftów i halerzowych obliczeń, miarą codzienności mierzący przyszłość Narodu i Sztuki, żyjący, a raczej wegietujący wązkim, jałowym pasmem codziennych interesów, traktujący zagadnienia kultury z punktu widzenia przyjemności świątecznych — Kraków, przychodzący do progów świątyni kultury ze swymi swoistemi — aż nadto swoistemi (!) wymaganiami, Kraków — wreszcie — łożący na kulturę Krakowa swoje

halerzowe ofiary i dźwigający, bądź co bądź, na swoich barkach ogromną część finansowych ciężarów, zapewniających tej kulturze jej istnienie i jej rozwój. I to ostatnie jest może najgorsze! Kto płaci — ten uważa, że ma prawo sądzić! Kto daje — ten uważa, że ma prawo wymagać...

Kraków mieszczański czuje, aż nadto dobrze, rozbieżność pomiędzy obowiązkami, jakie na niego *włożono*, a własnymi chęciami. Gdyby mógł i gdyby miał odwagę, zburzyłby Akademię Nauk i Akademię Sztuk Pięknych, na miejscu imitującego Paryską Operę gmachu teatralnego kazałby stanąć jakimś nowemu, rozłożystemu, za wązkim przejściem koło lady piwo — i szampandajnemu Hawelce, nie dał by ni centa na restaurację Wawelu — natomiast wysłałby gdzieś w śródmieściu (może na dachu Sukiennic) ogromne, wysokie, jak wieża Maryacka i obszerne, jak parlament Wiedeński. — „Kino“ albo Cyrk, darzący go z dnia na dzień falą przyjemnych, nie nużących bynajmniej, a łaskotliwych wrażeń. „Życie powinno być surowem, sztuka zaś pogodną!“ — oto aforyzm, który powtarza obecnie mieszczaństwo całego świata. Na szczęście mieszczaństwo nie jest jeszcze wszechwładne i nie jest — biorąc ogólnie — odważne. Mieszczanin (słowa tego używamy nie tyle w znaczeniu warstwy społecznej, co duchowego mieszczaństwa) nie ma odwagi przyznać się, że Wyspiański jest i pozostanie mu „obcokrajowcem“ i że Wawel obchodzi go tyle, co śnieg przeszłoroczny. Przeciwnie — on to głośniej od innych trąbi o sławie krakowianina-Wyspiańskiego i urządza hałaśliwe i błyskotliwe, na tandetę zewnętrznego efektu obliczone te czy inne jubileuszowe obchody, lub patriotycznie stereotypowe demonstracje. Summa summarum wytworzyć się musiało jakieś spóżyte, jakiś *modus vivendi* pomiędzy jednym, a drugim Krakowem: jednym — tworzącym kulturę, i drugim — korzystającym z tej kultury i dającym na nią pieniądze. Czynniki kulturalne — mówiąc trywialnie — ciągną co sił mieszczaństwo wzwyż za uszy, — mieszczaństwo co sił opiera się i obniża polot czynników kulturalnych. To, co widzimy z tworzącej się kultury polskiej w Krakowie, jest wypadkową sił, działających w najzupełniej różnych kierunkach.

Bardziej, niż na jakiejś innej instytucji, odbija się to na teatralnej antreprezji miasta Krakowa. Repertuar krakowskiego teatru miejskiego im. J. Słowackiego aż nadto wyraźnie świadczy o tem zwalczaniu się dwóch różnorodnych tendencji. Aż nadto wyraźne jest, że względy kasowe zmuszają dyrektora do schlebiania tej publiczności, która we Francji znana jest pod nazwą „bourgeois endimanchès“. „Sztuka powinna być pogodną“ — mówi „gros“ krzesel, łóż i balkonu — „nie powinna przerażać, męczyć, nużyć, zmuszać do myślenia, na wyższy ton nastrojać, gwałtownie z krakowianina robić europejczyka, dobrego polaka i humanitarnego człowieka“. — I w rezultacie mamy farsy, komedje, przechodzące w farsy (A. Fredro — junior), farsy, imitujące dramaty („Nin“ — Dymowa). A więc przede wszystkim i nade wszystko „Panią Prezesową“ Hennequina i nieschodzący z repertuaru pornograficzny dwu-dowcip pp. Arnolda i Bacha p. tyt. „Hiszpańska Mucha“. — „Sztuka powinna wychowywać publiczność“, „sztuka powinna dawać prawdziwie estetyczne zadowolenie“, „teatr powinien być świątynią“ — mówi (czy zawsze?) dyrekcja i dyrektor teatru, p. Tadeusz Pawlikowski, mający poza sobą lata owocnej pracy na polu podnoszenia repertuaru scen polskich i zasłużone imię „reforma-

tora teatru". A więc w rezultacie mamy wspaniałą satyrę Shawa: „Pigmalion“, bardzo dobrze inscenizowaną (stylizowaną) pseudoklasyką sztukę Szymonowicza: „Józef Castus“, „Budowniczego Solnessa“ Ibsena i w inn. „Teatr powinien istnieć dla publiczności — i może istnieć tylko przy poparciu publiczności“. Krzesła, łoże a nawet parter i galerja nie są zbudowane poto, by zasiadali w nich gratisowo recenzenci pism, lecz poto, by wygodnie i statecznie zasiedli tam przynoszący swoje korony i halerze obywatel krakowscy „endimanchés“, „ensamedis“, „envendredis“ i t. d. — mówią względy kasowe i szala przechyla się aż nadto wyraźnie na stronę żądań „gros“ publiczności: na jednego „Castusa“ są co najmniej cztery „Muchy“. Jako skutek mamy wdzieranie się „kino“ do teatru. Jak tak dalej pójdzie, wybudowanie specjalnego, olbrzymiego „kina“ nad Sukiennicami okaże się zbytecznym, gdyż będziemy mieli już to, które w r. 1893 na placu Świętego Ducha zbudował architekt, Jan Zawiejski. — Mówią, że dyrektor Pawlikowski ucieka z teatru i bojkotuje nie tylko przedstawienia, lecz i próby, gdy dają jakąś farsę. A szkoda—kto ucieka ten przyznaje się do porażki — a trudno nam się przyzwyczaić do myśli, by kółtunerja i mieszczaństwo moralne miały zapamiętać w tem mieście, o którym ze złości myśli serce każdego polaka — w mieście, które, między innymi, dało kulturze polskiej Wita i Stanisława Stwoszewa, Marcina Króla, Michała Wiszniewskiego, Ktremera, Helcla, Edmunda Wasilewskiego, Matejkę, Tetmajera, Wyspiańskiego, Rydla i tylu innych.

Bolesław Lubicz.

Kolizja.

(B A J K A).

Była puszcza. W puszczy — parów.
Nad parowem — ćma komarów.
Drobiazg to niby, a jednakże w walce
Takie zuchwalce,
Że i najdostojniejsze opadają bestje.
Na nic pazury, na nic zęby, rogi...
Wreszcie ogół czworonogi
Komarową podniósł kwestję.
Postanowiono
Insektów pogromcę obdarzyć koroną.
Żaba, do walki takiej, jak stworzona
(Łowi komarów dziennie pół miliona),
Dalejże się uganiać, pluskać po topieli:
To chluśnie w bagno, to znów na ład strzeli;
A co uchwycei komara —
Fanfara.
Ten i ów z podziwem zerka:
Niema co gadać — żaba bohaterka,
Żaba—czworonogów perłą!
Ofiarowano jej berto.
Ale cóż! Toć komary żywot mają twardy:
Giną miliony, legną się miljardy.

Choćbyś był i nad-żabą, wszystkich nie wyłowisz.

W sprawę tę wejrzał nakoniec sam Jowisz.

— Znajdzie się rada —

Powiada —

Niech tylko osuszę błota,

Ręczę, przypadnie hołota.

Lecz żaba w krzyk:

— Przepraszam! A to dobre sobie.

Bez bagna ja, królowa, co ze sobą zrobię?

Benedykt Hertz.

Na marginesie.

Wspomniałem o obecnej, wysoce nieprzyjemnej, pozycji „Kur. Litewskiego“; okazuje się jednak...

...Ale, à propos...

Skarży się na mnie p. J. Hł., że niedokładnie czytuję słowa jego organu. Istotnie. zawiniłem. Zdanie przytoczyłem z pamięci. Jego brzmienie autentyczne jest takie:

„Przenoszenia walk po przez granice (przeciętny polak) nie chce“.

Oczywiście, dalszego toku mych wywodów sprostowanie powyższe nie zmienia. Szło bowiem właśnie o to, iż przenoszenie, lub nie przenoszenie „po przez granicę“ pewnej kategorii walk, niezależne jest od woli publicystów.

P. J. Hł. przyznaje mi zresztą rację; więcej nawet: twierdzi, iż wypowiedam prawdę, tak powszechnie znaną i oczywistą, że jest to z mej strony... trochę śmiesznym samochwalstwem.

Samochwalstwem?

Niespodziewany wniosek p. J. Hł. (o ile wykuczmy karkołomne *salto-mortale* logiki mego sz. adwersarza) pozwala przypuszczać, że za samochwalstwo uważa on pisanie rzeczy, sens mających; za dowód zaś skromności—wygłaszanie prawd niezupełnie prawdziwych, a czasem nawet jawnie poróżnionych ze zdrowym rozsądkiem.

P. J. Hł. daje nam więc do zrozumienia, że jeżeli publicyści z „Kur. Lit.“ wyrażają niekiedy płytkie poglądy, to jedynie dlatego, iż z wielkiej swej skromności pragną uchodzić w oczach czytelnika za mniej rozgarniętych, niż są w istocie. Słowem—nie chcą nas oszalać i upakować głębią swej inteligencji.

To pięknie z ich strony. Podziwiam tę skromność, prawdziwie bezprzykładną, ale wole, by pozostała dla mnie wzorem niedościgłym.

Tylko, czy aby to jedynie skromność?

Dziś przecież każdy prawie czytelnik wie, że publicysta nie zawsze pisze wszystko, co myśli i tak, jak myśli. Bywa nawet, że między tem, co myśli, a tem co pisze, panuje stale harmonja jeszcze luźniejsza niż między artykułami wstępniemi dwu redaktorów „Kur. Litewskiego“. Ba! toć znam ludzi, którzy piszą o filozofji Bergsona, a myślą o niebieskich migdałach, albo też: ile rękopis da wierszy w druku.

Zresztą, nie jest to jeszcze wypadek najdziwniejszy. Wiadomo, że przy pewnej sprawie dziennikarskiej można sypać, jak z rękawa, złotemi, brylantowemi myślami, absolutnie nic nie myśląc. Bo zdolny, uznany, szanujący się dziennikarz zgoła bywa obcy chęci popisywania się tem, co mu do jego biednej głowy przychodzi. Pisze to, co się oplaca pisać: co w umyśle czytelnika nie wywołuje zaburzeń, gorszących prób samodzielnego rozumowania, lecz przeciwnie: co kołysze go do snu duchowego i zapewnia łatwe przeżuwanie rodzimych ideałów, tudzież zadowolenie z szlafroka prawomyślności.

Metodę tę uprawiają nieraz z istotnym talentem współpracownicy wszystkich t. zw. „miarodajnych organów“; a do perfekcji zdążyli już ją doprowadzić pisarze konsertywnego obozowiska, ciągnącego się od zabudowań dworskich, przez plebanję, aż do chałupy karbowego.

Plebanja stoi tu zawsze pośrodku. To ją czasem naraża...

Lecz wróćmy do rzeczy.

Wspomniałem o obecnej, wysoce nieprzyjemnej pozycji „Kurjera Litewskiego“; okazuje się jednak, że może być sytuacja jeszcze niewygodniejsza.

W takim to właśnie położeniu znalazł się niespodzianie arcy-miarodajny „Przegląd Katolicki“, do którego „Słowo“ i „Gazeta Warszawska“ zwróciły się po rozwód.

— Zastanówcie się — tłumaczy im zakłopotany „Przegląd“ — nie siejcie zgorzenia. Kto jak kto, ale wy służyć powinniście za wzór dla młodszej braci.

Chwila milczenia.

— No, pogódźcie się, podajcie sobie ręce.

Ale „Gazeta Warszawska“: nie i nie.

Wreszcie wybucha:

— Z tym ateuszem? Z tym zakapturzonym masonem? Nigdy w życiu!

— Nie rób-że brewerji — mityguje ją dystyngowane „Słowo“. — Ojcie duchowny, wyjaśnij tej wariatce, że jestem zupełnie dobrym, prawomyślnym katolikiem.

— Gadaj zdrow! Już ja cię poznałam — krzyczy pożółkła z gniewu Eudecja (jak wiadomo, świeżo zapisała się do tercjarek). — Niech mu ks. Przegląd nie wierzy; to obłudnik, faryzeusz.

No i rozpoczął się raptem spór, kto jest bardziej katolicki: „Słowo“, czy „Gazeta Warszawska“.

— Ażeby was!.. — zaklął cicho „Przegląd“, drapiąc się w piuske.

On przecież wie doskonale, że w gruncie rzeczy wart Pałaca, a pałac Paca: że na dobrą sprawę... hm, tego... ani „Słowo“, ani „Gazeta“. W obu redakcjach znajdzie się dwu, trzech ludzi, solidnie wierzących, a i to jeden pracuje w ekspedycji, a dwaj są roznosicielami. Reszta — Boże odpuść! — w kościele ani się pokaże, a gorliwość religijną jeno atramentem wylewa — ot, dla maluczkich.

A jednak dobre i takie dwa organy na te ciężkie czasy — czasy socjalistów, masonów, żydożerczych antyklerykałów (kto zgadnie, co tam jeszcze wymyśla!..)

I postawcie się teraz w położeniu tego biednego „Przeglądu Katolickiego“. Zważcie, że nie o byle co to chodzi. Spór toczy się nie dla żadnych idejowych fanaberji — idzie o rzecz dla obu bogobojnych zelatorów pierwszorzędnej wagi, o rzecz, wykluc-

czającą wszelkie skrupuły i sentymenty, o sprawę, dla której najlepszego druha na potępienie wieczne z lekkim sercem skazać się oplaca. Chodzi o zastęp księży — prenumeratorów.

Wobec tej hecy „Kurjer Litewski“ milczy, jak cnotliwe dziewczę na zbyt tłustej farsie. Tym razem znalazł się w położeniu wyjątkowo korzystnym. Czy proces wygra „Słowo“, czy „Gazeta Warszawska“ — jest mu to absolutnie wszystko jedno. Interesy jego nie doznają wstrząśnienia.

Z tego względu p. W. B-ski śmiało może powtórzyć zdanie, że: przeciętny polak „przenoszenia walk po przez granicę nie chce“.

Ale polak nieprzeciętny — t. j. taki, dla którego interesu narodowy trochę mniej ściśle przystaje do interesu domu handlowego L. i E. Metzl & Co — może zastanowić się zechce nad ewentualnymi konsekwencjami obecnego zatargu „Słowa“ z „Gazetą Warszawską“. Konsekwencje te bowiem właśnie w naszym kraju odbić się mogą ze szczególną wyrazistością.

Wiadomo, że „Słowo“ jest na Litwie bardzo rozpowszechnione; kto wie nawet, czy nie bardziej, niż w Królestwie, gdzie narodowi — demokraci, zanim jeszcze zapalali do p. Piltza afektem, poderwali mu wszelki kredyt moralny. Kalumnje ich wszelako słabszym echem odezwały się nad Wilją, niż nad Wisłą i dotąd spora część obywatelstwa i duchowieństwa tutejszego obdarza „Słowo“ pełnem zaufaniem. Gdyby dziś wyrok „Przeglądu Katolickiego“ poderwał autorytet tego pisma, „Gazeta Warszawska“ przejęłaby w sukcesji jego wpływy, a dmowska orientacja polityczna falą, zacznie gwałtowniejszą, niż obecnie, rozlałaby się po kraju naszym.

Są wprawdzie ludzie, którzy twierdzą, że właściwie wszystko jedno: orientacja dmowska, czy piltzowska — co za różnica? Ale są też i inni, subtelniej filozofujący. Ci powiadają, że co Piltz to nie Dmowski, a co Dmowski to nie Piltz.

Skoro więc są i tacy, niechże wiedzą o zatargu obecnym. Poinformować ich o nim należy do obowiązków prasy. Ponieważ „Kurjer Litewskiemu“ uczynić tego nie wypada — niezręcznie — zatem przez mniejsze omówienie wyręczam go poniekąd. Sądzę, że za tę koleżeńską przysługę wdzięczny mi być powinien.

Jeśli wszakże sprawę oświetlam nieco inaczej, niżby to zrobił p. J. Hł. lub W. B-ski, niech, to już zapiszą na karb tego mojego... samochwalstwa, które każe mi popisywać się zdolnością widzenia prawdy, a nie kryć się z nią, jak to czynią skromni redaktorowie „Kurjera“, lub najskromniejszy z dziennikarzy wileńskich — kierownik „Gazety Codziennej“.

P. Obstawi wielu rzeczy można odmówić, ale jednej nigdy — t. j. dziennikarskiego wężu. Wie on zawsze doskonale, skąd wiatr wieje.

Gdy więc pisze, że z redakcyjnego worka „Słowa“ wylazło żydowskie szydło — to dowód, iż karjera p. Piltza ma się ku końcowi. Amen. Werdykt „Przeglądu Katolickiego“ został już widać podpisany.

Ci zatem, którzy czynią pewne różnice między Dmowskim i Piltzem, oczekiwac powinni zwrotu orientacji politycznej naszych „sfer miarodajnych“. Nie pokraśnieje od tego, oczywiście, ich sztandar; „wy-

trawny“ oportunizm w jednym tylko kierunku może uleść wzburzeniu—a mianowicie, spiętrzone bałwany ryczeń nam będą za p. Dmowskim głośniejsze, niż dotychczas, że „naród ma taki honor, na jaki go stać“, a jeśli go stać tylko na dwugroszową publicystykę, to i honor powinien mieć też odpowiedniego waloru.

Behra.

Dokoła sceny.

Pokusiała się wreszcie i obecna dyrekcja o szereki, piękny giest, o zadokumentowanie, iż teatr wileński, który pierwszy wystawił „Sędziów“ Wyspiańskiego, który „Dziadami“, „Weselem“, „Warszawianką“ zakasował Warszawę, który swą „Lilią Wenedą“ za imponował wszystkim scenom polskim — do rzędu prowincjonalnych przedsięwzięciw spaść nie chce, lecz pragnie rwać się dalej ku wyżynom sztuki.

Dano „Nieboską“. Bardzo to stylowo dla p. Baranowskiego.

Lecz nie tykajmy względów politycznych, które może i podyktowały ten wybór. Można różnić się zasadniczo w poglądach z autorem „Trzech psalmów“, przyznać mu jednak trzeba mistrzostwo słowa, potęgę wyobraźni, a przede wszystkim serce, żywo bolejące nieosobistym cierpieniem i umysł gienjalnie trzeźwy.

Tak, trzeźwy. Bo „Nieboska“—to tragedia daleko bardziej rozpaczliwa, niż ta, którą Krasiński napisał, niż ta, którą ujrzelśmy na scenie. To straszny dramat duszy ludzkiej, wrażliwej, wierzącej, całą siłą ślepego uczucia przywiązanej do pewnych form, tradycji, które za żywe życie uważać przywykła — a której nagle własny rozum powiada, iż wszystko, co ona kocha, wszystko, na czem budowała dotąd przyszłość umiłowanego narodu—to ruina, trupiarnia.

Wyobraźmy sobie, co przecierpieć musiał Krasiński, by hr. Henrykowi zgotować los, jaki go w „Nieboskiej“ spotyka. Stosunek autora do bohatera sztuki jest tu zgoła inny, niż widzimy zwykle; to nie stosunek obserwatora do przedmiotu obserwacji, którego losem poeta w mniejszym lub większym stopniu się przejmuje. Związek zachodzi tutaj bliższy nawet, aniżeli między Konradem i Mickiewiczem. Hr. Henryk to nie tylko sam twórca poematu, ale cały jego gatunek, całe środowisko, które go stworzyło, nauczyło po swojemu czuć, myśleć, na świat patrzeć i swemi kastowemi rachubami zakreślać wignokrąg dobra, piękna, prawdy.

Lecz sugiestja okazuje się za słaba wobec bystrości umysłu, jaką zdradza dwudziestoletni młodzieniec. Widzi on straszną rzeczywistość. Widzi ją bezwątpienia jaśniej, niż obecni jego wielbiciele.

Gdy słuchamy słów Pankracego, podziw wzbiera dla obiektywizmu autora. Co za bajeczną zdolność rozumienia przeciwnika — przeciwnika, który przecież do rozpacz doprowadzać musiał obrońcę arystokratycznej struktury społecznej! Na takie odmalowanie wroga — nie byle kogo stać. Krasiński nie tai ani przez chwilę, że Pankracego nienawidzi, a wkłada mu jednak w usta zdania głęboko przekonujące, które dziś już potwierdziło życie, których moc próbę czasu przetrwała. Wszystko, co im poeta przeciwstawia, choć pała żarem uczucia, rozumowo słabe

jest, anemiczne—podobnie, jak *Deus ex machina*, co Pankracego zwycięża.

Sztuczność niespodzianego upadku trybuna ludu—to właśnie jądro tragedii, którą przeżyć wypadło samemu poecie. Fakt, że upadku swego (choć zapewne przeczuwanego, jako prawda) związać nie umiał przyczynowo z tokiem dramatu, że nie potrafił wprowadzić go z niego logicznie, wieje rozpaczą, ostatecznym zwątpieniem.

Na ziemi hr. Henryk sił przeciw Pankracemu nie znajduje; na ziemi tryumfotorem —Pankracy.

Pozostały jedynie moce niebieskie, ale te nie interwenjują na komendę w życiu tak łatwo, jak w teatrze, gdzie można każdej chwili robić grzmoty, błyskawice, a nawet objawienia cudowne.

Właśnie może dlatego, że „śmietanka“ nasza zbyt już jest sceptyczna, by—wzorem Krasińskiego—ratunku oczekiwać od sił nadprzyrodzonych, łoże i pierwsze rzędy krzesel świeciły na tej, rzeczywiście uroczystej, premierze pustkami. Rzecznika arystokracji, rzecznika przeszłości z pijetyzmem wysłuchał *demos*. I głowę pochylił przed wielką duszą swego wspaniałego antagonisty.

To samo uczucie wyraziło się w sposobie wystawienia poematu.

Przedewszystkiem wykrojono z niego bardzo zęcznie to, co się na deski sceniczne kwalifikowało, tworząc jednocześnie zaokrągloną całość. Dopiero, uscenizowana, „Nieboska Komedja“ dała nam po znać w pełni pokrewieństwo Wyspiańskiego z wielką trójcą romantyczną.

Tło malarskie dzieła zostało należycie uwzględnione. Dekoracje — zwłaszcza pierwszego aktu — mogły zadowolić nawet gusty bardzo wybredne.

Główne role, wykonane przez pp. Brylińskiego (hr. Henryk), Skarżyńskiego (Pankracy) i Przysiańskiego (Aligero), odegrane były z pięknym, młodzieńczym zapalem, który wynagrodził brak reżyserskiego ustosunkowania względem siebie tych postaci. W Pankracym np. nie czuło się, że jest to antyteza bohatera sztuki.

Wogóle reżyżersja trochę szwankowała. Statystów było stanowczo za mało; ci zaś, co byli, ruszać się nie umieli. Ale to nietyłe wina dyrekcji, ile miejscowych warunków.

rc.

PRASA POLSKA.

— Z powodu nowej książki p. Romana Dmowskiego: „O godności narodowej“, wypowiada w ostatnim numerze „Krytyki“ szereg trafnych uwag p. Wilhelm Feldman:

„Dwa są źródła poczucia godności. Jedno płynie stąd, że się coś ma, drugie stąd, że się kimś jest. Pierwsze jest czemś zewnętrznym, naleciałem, przejściowem: opiera się na tradycji, urzędzie, najczęściej na pieniądzu; godność to parweniuszy duchowych, pysznych na zewnątrz, pustych wewnątrz, potrzebujących zawsze stwierdzenia bodaj przez lokaja swojej wielkości. Drugie oparte jest na prostym fakcie, że się jest duszą, pierwiastkiem nieśmiertelności, że ta dusza w najgłębszej swej istocie jest siłą twórczą w wszechświecie, i dąży do celów nieśmiertelnych: kto jest tą duszą, temu godności nie może odebrać żaden cios, żadna zmiana losów ziemskich. Wielki poeta rzuca raz obraz: jak wśród butnych, potężnych całą dumą Romy urzędników, stał On, mały, bity, ociekający krwią, opluty śliną i urąganiem pospółstwa... Kto zachował godność wobec współczesnych, wobec po-

tomności? Podobnie z narodami. Niejeden może prawić o honorze a nie mieć godności; opierać go na zwycięstwie materialnem, a czuć brak sankcji moralnej, brak w sobie, w swoim zwycięstwie, pierwiastka nieśmiertelności; tem bardziej rośnie jego potrzeba gwarancji zewnętrznych, oznak materialnych—a jednak nietrwale one, bez jutra, o ile dzisiejsza ofiara zachowa w sobie godność, świadomość wartości swej duchowej, misji swojej, praw i dążeń nieśmiertelnych. Dlatego czcimy bohaterów, którzy wszystko stracili, prócz godności: ona jest rękojmnią, że pierwiastek nieśmiertelny do praw swych wróci; dlatego prawdziwy upadek, śmierć zaczyna się z chwilą, gdy ktoś dobrowolnie głosi kompromis na punkcie godności. I to czyni p. Dmowski. Etyka parweniustostwa bez jutra; uzupełnienie godne teorii egoizmu: etyka kramarstwa".

— W perersburskim „Głosie polskim“ znajdujemy ciekawe oświadczenie p. A. L. Pogodina, który objaśnia, dlaczego jest przyjacielem Polski.

„Na pytanie, dlaczego jestem przyjacielem Polski, nie jest mi łatwo odpowiedzieć, gdyż zanadto przywykłem szanować ją i kochać, muszę więc głębiej zajrzeć do duszy, by znaleźć podstawę tego uczucia. Oto już przeszło dziesięć lat, jak w miarę sił walczę o to, co uważam za sprawiedliwe i należne w stosunku do polskiego narodu. Przez ten czas napisałem większe dzieło o polskiej myśli politycznej, studjum o Mickiewiczu, pierwszy tom historii polskiej literatury i wiele artykułów w pismach. W tym czasie ponadto w różnych wyższych zakładach naukowych prowadziłem systematyczne wykłady z dziedziny historii Polski i polskiej literatury, a obecnie piszę książkę o historii narodu polskiego w XIX wieku. Wreszcie na drodze swego życia spotkałem tylu wybitnych Polaków, działaczy politycznych, przedstawicieli literatury, nauki...

Nie mogę nie dodać, że chociaż czasami doznawałem od Polaków niezasłużonych i niesprawiedliwych, wielkich i bolesnych uraz, to wzamian za to napotkałem z ich strony tyle dobra, tyle wysokiej humanitarności, że w moim stosunku do Polski jest także i zawsze głębokie uczucie wdzięczności i żywej bezpośredniej miłości.

Dlatego też odpowiedzieć na pytanie jest mi trudniej, niż zawodowemu politykowi lub publicyście, któremu Polska jest obcą. Gdy myślę o Polsce widzę postacie moich szlachetnych przyjaciół, ś. p. Straszewicza, z żyjących prof. Dmochowskiego i wielu, wielu innych.

Spróbuję jednak odpowiedzieć obiektywnie. Powiedziałbym, że kocham Polaków za ich niezwykły optymizm, który pozwala im po najcięższych wspomnieniach znowu iść do pracy twórczej. Zniszczona Macierz Szkolna, zamknięte Towarzystwo Kultury. Dziś przynębanie i ból, jutro znowu dzielność i usiłowania, zaleczywszy ranę, zacząć nową pracę. I im silniejszy ucisk, tem silniejsza energia społeczna.

Wiem, że pośród was niema politycznej jedności, że w polskim życiu politycznym są wielkie braki (np. zdaje mi się, że wasi działacze polityczni nazbyt lękają się tłumu i jego sądu). Lecz posiadacie za to coś bardzo ważkiego: narodową jedność. Nastaje odpowiednia chwila i waśni politycznej niema. Każdy jest Polakiem, jak to było w czasie pochodów narodowego w 1905 r. Dlatego też bezsilne są wszelkie próby rozbić narodowej jedności Polaków: upadek i, prawdopodobnie, zupełny zanik marjawizmu świadczą o tem.

Ta jedność narodowa w związku ze zdrowym optymizmem czynią naród polski niezniszczalnym i zapewniają mu przyszłość w Europie. Naród sangwiniczny, żywo odzywający się na wołanie życia, rozumny i wesoły, powołany jest do pracy twórczej i, naturalnie, wywołuje sobie dla niej pole. W duszy każdego Polaka zadziwiająco kojarzy się Połaniecki i Mickiewicz. Mnie to się bardzo podoba i cieszy w Polakach. Widzę dla nich w przyszłości wiele dobrego i z serca i szczerze kocham polski naród. Nie mówię już o tem, że jako rosjanin-wielkorus, jako człowiek przyzwyczajony mocą dawnej tradycji (moje drzewo rodowe sięga dość głęboko w przeszłość Rosji i ja nie mam nic wspólnego z profesorem moskiewskim, M. P. Pogodinem) do patrzenia na wszystko z punktu widzenia państwowego pożytku, uważam rozwiązanie kwestji polskiej za nieodzowne. Wprost nie mogę pojąć, komu i poco (oczywiście oprócz Prus i „działaczy“ warszawskich) potrzebny jest ucisk życia narodowego w Królestwie. Ten absurd musi ustać, gdy w Rosji nastąpi bardziej rozumna epoka".

— Niestety, nie widać by „absurd“ ten miał być

rychło za absurd w Rosji uznany. Świadczy o tem bodaj ostateczne grzebanie samorządu miejskiego. Zachowanie się jednak prasy warszawskiej dowodzi trafności niektórych spostrzeżeń p. Pogodina.

Większość pism naszych podała tylko sprawozdania z obrad komisji pojednawczej, powstrzymując się od wszelkich bezcelowych komentarzy. Szerzej oświetlił sprawę „Kur. Poranny“ który tak pisze:

„Uświadomiony ogół polski zupełnie obojętnie przyjmuje wiadomość o wyniku głosowania w komisji pojednawczej nad sprawą językową. Obchodzi nas tylko to, że wobec niedojścia do skutku kompromisów, można mieć nadzieję, że cały projekt ulegnie pogrzebaniu. Doszliśmy już bowiem do tego, że to pogrzebanie uważamy za jedynie dopuszczalny sposób wybrnięcia z całej tej politycznej mistyfikacji.

Niestety, na razie, jest to tylko nadzieją takiego obrotu rzeczy. Niepodobna zaręczyć, czy Duma, wzięwszy ponownie projekt pod obrady, nie zechce jeszcze w ostatniej chwili uczynić „poświęcenia“, ani też czy w ostatniej chwili Rada Państwa, pozbywszy się już p. Kokowcowa nie zrobi giestu zaaprobowania tekstu Aleksiejewa. Bądź co bądź „samorząd gubernatorski“ bez języka polskiego — bo ostatecznie i tekst Aleksiejewa w praktyce go nam nie daje — wisi jeszcze nad nami, jak miecz Damoklesowy. Trudno liczyć na to, że nie znajdzie się „przyjazna ręka“, która nie przetrnie węzła na podtrzymującej go w powietrzu nitce. To też wykrzyknik: „dzięki Bogu!“ jest tymczasem jeszcze przedwczesny. Nasze nadzieje uzyskania czegokolwiek, coby choć w oddaleniu przypominało samorząd, przysły już podczas obrad w Dumie państwowej. Odtąd już szło tylko o uniknięcie niebezpieczeństwa narzucenia nam ustawy, która utrwałaby dzisiejszy stan rzeczy przy pociągnięciu do popierania go pełnomocników społeczeństwa; taka ustawa zamykałaby na daleką przyszłość wszelką możliwość wysiłków dla wywalczenia należnych nam normalnych warunków gospodarki społecznej“.

GŁOSY ROSYJSKIE.

Polityka Banku włościańskiego.

W „Rieczy“ znajdujemy obszerny artykuł o działalności Banku włościańskiego na Litwie i Białorusi.

Bank—zdaniem „Rieczy“—nie odpowiada właściwemu swemu zadaniu, gdyż zamiast służyć wyłącznie ekonomicznym potrzebom kraju i jego ludności, powoduje się przeważnie względami politycznymi.

Bank włościański, parcelując ziemię, systematycznie nie dopuszcza ludności miejscowej, a sprowadza kolonistów staroobrzędowców z głębi państwa.

Co gorsze, Bank sprowadza obcych kolonistów właśnie do tych okolic, gdzie ludność miejscowa najbardziej potrzebuje tej ziemi. W ten sposób Bank wyrządza podwójną krzywdę ludności miejscowej, która przedtem, dopóki majątek był własnością prywatną, mogła przynajmniej dzierżawić grunty od właściciela, z chwilą zaś, gdy majątki przeszły na własność Banku, nawet tej pomocy zostaje pozbawiona.

Kolonisci, których sprowadza Bank z głębi państwa, nie są przeważnie nawet rolnikami z zawodu—to drobni sklepikarze, karczmarze i tym podobne żywiły, nieobeznane z gospodarką wiejską, którym Bank udziela zapomogi, podczas, gdy ludność miejscowa, urodzona na tej ziemi, osiadła od niepamiętnych czasów, musi za bezcen sprzedawać swe drobne działki i emigrować do Syberji, do Prus i za ocean.

Deklaracja „idealisty“ rosyjskiego.

Hr. Perowskij - Petrowo - Solowowo na łamach „Now. Zwiena“ prowadzi polemikę z prof. Zdziechow-

skim. Nie bacząc na wzniosłe i szlachetne „pryncypia“, hr. Perowski w rozumowaniu swem skręca wyraźnie na tory nacjonalistyczne.

Wychodzi on z założenia, iż jedyne rozstrzygnięcie sprawy polskiej, które zadowoliloby polaków — to nadanie Królestwu Polskiemu niezależności, i pisze:

„Zasadniczy sposób rozwiązania sporu polsko-rosyjskiego, który by mógł was zadowolić, jest dla nas absolutnie nie do przyjęcia, a więc kwestja ta musi stać się chroniczną; częściowe, nieznaczne ustępstwa gotowi jesteście wam czynić; unikać wszystkiego, co was drażni zbyt, oczywiście będziemy; lecz nie spodziewajcie się żadnych zarządzeń radykalnych w sensie zadośćuczynienia waszym żądaniom. Nie spodziewajcie się dla tej prostej przyczyny, iż oddanie wam szeregu pozycji bez otrzymania od was czegoś wzamian, byłoby poprostu — głupotą.

Będziemy więc żyć z dnia na dzień, unikając powodów do zaostrenia waszej nieprzyjaźni względem nas, lecz wiedźcie, iż autonomji wam nie damy, wojsk rosyjskich z granic Królestwa Polskiego nie wyprowadzimy; o Kraju Zachodnim nie chcemy z wami gadać!..“

Z powodu wyjazdu p. Ludwika Abramowicza, zastępuje go p. Benedykt Hertz, który w sprawach redakcyjnych przyjmuje interesantów od g. 11 do 1 prócz świąt i niedziel.

KRONIKA.

== Wystawa nasion.

D. 16 lutego (1 marca), staraniem Tow. Rol. wileńskiego i kowieńskiego, otwarto II wystawę nasion.

== Nowa organizacja.

Główny zarząd rolnictwa i urzędów rolnych pozwolił na utworzenie w Wilnie, według ustawy normalnej, „Wileńskiego Rósyjskiego Towarzystwa rolniczego“. Wpisowe 50 kop., składka roczna 1 rb.

== Statystyka zmiany wyznania.

Sprawozdanie nadprokuratora synodu prawosławnego za lata 1911—1912 wykazuje, że w ciągu r. 1912 przeszło na prawosławie 18,293 osób wyznań obcych, w tej liczbie 2,105 katolików. W tym samym czasie wystąpiło z cerkwi prawosławnej 13,493 osób, w tej liczbie 2,010 osób przeszło na katolicyzm. Wobec tych cyfr, dziwnie brzmią zamieszczone w temże sprawozdaniu skargi nadprokuratora na „niebezpieczny rozwój propagandy katolickiej“ na Litwie i Rusi.

== Stan biblioteki Jagiellońskiej.

Dyrekcja Biblioteki Jagiellońskiej ogłasza sprawozdanie za rok 1913, z którego wyjmujemy kilka szczegółów.

Przyrost dzieł w Bibliotece Jagiellońskiej wynosił w 1913 roku, 7,260 tomów, (w 1912 roku 6,481), 2 rękopisy, 2 inkunabuły, tak, że obecny stan biblioteki jest następujący: druków 429,354 tomy, rękopisów 6,448, inkunabułów 2,875, dyplomatów 400, map geograficznych 3,257, rycin 9,862, dzieł muzycznych 4,494, medań 37.

== VII Zjazd techników polskich odbędzie się w r. 1915 w Warszawie. Organizatorami zjazdu są inżynierowie: Piotr Drzewiecki, Prezes Stowarzyszenia Techników w Warszawie, Władysław Kiślański, prezes Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie i Hieronim Kondratowicz, prezes Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu.

Termin zjazdu wyznaczony będzie na jesień przyszłego roku, o czym nastąpi oddzielne zawiadomienie.

Zjazd podzielony będzie na grupy, stanowiące oddzielne zjazdy dotyczące poszczególnych zawodów, a mianowicie: architektury, budowy i higieny miast, mechaniki, chemji, elektro-techniki, górnictwa, hutnictwa i techniki wiertniczej, budowy

drog wodnych, komunikacji lądowej, żelbetnictwa, melioracji rolnych, cukrownictwa, gazownictwa przemysłu włókienniczego i ogrzewnictwa.

Osoby zainteresowane, pragnące bądź podnieść na Zjeździe sprawy naukowo-techniczne, techniczne, przemysłowo-techniczne lub z techniką związane, bądź wygłosić odpowiednie referaty albo komunikaty bądź też postawić w tych sprawach wnioski, proszone są o nadsyłanie zgłoszeń pod adresem: „Komisja Główna Zjazdu Techników Polskich w Warszawie, Gmach Stow. Techników ul. Włodzimierska 3/5“.

== Jubileusz Kolberga.

Dnia 9(22) b. m. upłynęła setna rocznica urodzin twórcy etnografji polskiej, Oskara Kolberga.

Kolbergowi zawdzięcza nauka polska prócz kilkudziesięciu tomów „Ludu“, które za życia wydał, prawie drugie tyle materiałów nieużytych, przechowywanych w tekach Krak. Akademji Umiejętności.

== Zgon W. de Rosenwerth-Różyckiego.

W Rapperswilu zmarł Włodzimierz de Rosenwerth-Różycki, były kustosz miejscowego muzeum polskiego. Włodzimierz de Rosenwerth-Różycki był uczestnikiem wypadków r. 1863. Następnie, jako emigrant, powołany został na kustosza muzeum Rapperswilskiego. Mimo gorącego patriotyzmu i szczerej chęci służenia powyższej instytucji, na stanowisku kustosza okazał zupełny brak kwalifikacji i spowodował głośny zatarg na tle gospodarki muzealnej. Po zaciętej walce, zmuszony był przed dwoma laty stanowisko kustosza opuścić.

== Postępy kolonizacji niemieckiej.

Z ogłoszonego świeżo sprawozdania komisji kolonizacyjnej, wynika, że instytucja ta przeciwpolka, której zadaniem jest zaludnianie prowincji wschodnich monarchji chłopami niemieckimi i przerabianie wsi polskich na patentowane parcele niemieckie, nabyła w r. u. 64 większych i mniejszych majątków ogólnego obszaru 18,835 ha, razem z czterema wywłaszczonymi. Z majątków tych 30, obszaru 9,639 ha, położonych jest w W. Ks. Poznańskim, 34 zaś—obszaru 9,206 ha,—w Prusach Zachodnich.

== Giermanizacja miast poznańskich.

Komisja kolonizacyjna zamierza rozpocząć energiczną działalność w małych miasteczkach w Poznańskim i w tym celu potworzyć małe parcele miejskie, któreby następnie sprzedawane były patriotom niemieckim. Komisja chce w ten sposób otoczyć miasta polskie ścisłym pierścieniem posiadłości niemieckiej.

== Projekt nowej ustawy antypolskiej.

Rząd pruski opracowuje nową ustawę, która uzależnić ma parcelację od władz administracyjnych.

== Jubileusz Szewczenki.

Obchód jubileuszu Szewczenki, projektowany w Kijowie, został przez władze zakazany.

== Walka z pijaństwem.

Wśród uczniów jakobsztaadzkiej wyższej szkoły początkowej zawiązało się kółko p. n. „Odrodzenie“. Członkowie tego kółka zobowiązywali się nie używać alkoholu i nie palić tytoniu. Gdy się o tem dowiedziały władze szkolne, zawiadomiły żandarmerję, która przeprowadziła śledztwo. Uczniom starszych klas, jako inicjatorom kółka abstynenckiego grozi usunięcie ze szkoły.

Treść:

„Steputaty“ — H. R. C.

My, a „oni“ — Napoleon Czarnocki.

Religja, kościół, klerykalizm. — M. R.

Dalekie echa. — Wi-ski.

Listy z Krakowa. — Bolesław Lubicz.

Kolizja (bajka). — Benedykt Hertz.

Na marginesie. — Behra.

Dokoła sceny. — r. c.

Prasa polska.

Głosy rosyjskie.

Kronika.

Odcinek: Marzenie i czyn.—Wacław Makowski.



WIEDZA MAGIA!

Niema na świecie cudowniejszej książki. Przy jej pomocy można zdobyć sobie miłość ukochanej kobiety, wogóle otrzymać wszystko, czego człowiek pragnie, odkryć najgłębsze tajemnice, dowiedzieć się co się w sąsiednim domu dzieje, wykorzystać pijanśwo, samogwałt (onanizm) i inne rozmaite zbrocenia; mieć stałe szczęście w grach i loterii, pozyskać władzę nad innymi ludźmi, we wszelkich handlowych przedsiębiorstwach, mieć stałe powodzenie i. t. d. i. t. d. Ta nadzwyczaj zajmująca książka w języku polskim kosztuje tylko 2,75 i jest do nabycia — tylko za poprzednim nadaniem em. należność lub za zaliczeniem u p. Tourjaen, psycholog, Bruksela-Centre, Boite postale 125, Belgia, W. 70.

Magazyn ubiorów męskich St. Krauzego

kierownika b. firmy „F. Stypułkowski“.

Wilno, Ś-to Jerski prospekt № 31.

TRZECI ROK WYDAWNICTWA. „Echo literacko-artystyczne“ 24 ZESZYTY ROCZNIE.

Najtańszy kulturalny DWUTYGODNIK, (w rodzaju *Revue* zagranicznych), wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca przy współudziale wybitnych sił literackich. Omawia najżywotniejsze zjawiska z dziedziny literatury i sztuki krajowej i zagranicznej, kwestje społeczne i naukowe. Powieści i nowele. Bogaty dział korespondencji, bibliografji i kroniki.

Komitet redakcyjny stanowią:

K. Łozińska, A. Sikorski, C. Walewska, E. Wielowieyska.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Szpitalna 12. — Telefon 176-31.**

Prenumerata wynosi: w **Warszawie** rocznie **6 rb.**, półr. **3 rb.**, kwart. **1 rb. 50 kop.**
Na **provincji**: rocznie **7 rb.**, półr. **3 rb. 50 kop.** **Zagranicą**: rocznie **8 rb.**, półr. **4 rb.**

Wyszedł z druku, nakładem Zygmunta Nagrodzkiego, kalendarz

„WIEŚNIAK”

zawierający wiele ciekawych i pożytecznych artykułów różnej treści.

Cena kop. 10.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Cena kop. 10.

Skład główny w księgarni „KULTURA“, Wilno, prospekt Ś-to Jerski № 7.

Dostępna dla każdego możliwość zakupu działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzyncu“. Miejscowość ładna i zdrowa; las, rzeka. Ceny i warunki dogodne. Śpiesznie nabywać! Do sprzedania pozostała nader szczupła ilość gruntu. Jest to ostatnie przypomnienie! Po informacje należy się zwracać do Biura sprzedaży parceli w Zwierzyncu:

Wilno, Zwierzyniec, Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Telefon № 46.

Informacje są udzielane w ciągu całego dnia nie wyłączając świąt.